№ 31. Warszawa, dnia 1 Sierpnia (20 Lipca) 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

PRZYWRÓCONA KARNOŚĆ

Uwagi nasze o restauracyi kościoła katolickiego i o okólniku biskupa z Paderbornu (w n-rze 29 *Prawdy*) zakończyliśmy słowami: „Porządek i karność do katolicyzmu wrócą, bo jeszcze Leon XIII za wiele w sferze swej władzy może i chce; złożyć ofiarę on musi, ale złoży ją na ołtarzu cywilizacyi, nie zaś w sakwy swych podwładnych; ci, jak dawniej, słuchać go będą z pochylonemi głowami."

I oto znowu pochylił głowę buntownik z Paderbornu.

Rozporządzenie pruskiego biskupa, nakazujące klerykom uczęszczać na wykłady uniwersyteckie, samo w sobie jest faktem tak drobnym, że nie zapisywalibyśmy go nawet, gdyby ono nie łączyło się z wielką, polityczno-społeczną walką, którą od lat kilkunastu pod nazwą „kulturkampfu" toczy najpotężniejsze państwo z najpotężniejszym kościołem. Przebieg tej walki jest nietylko ciekawym procesem dziejowym, ale dla rozległego świata katolickiego posiada znaczenie praktyczne. Bismark dotąd zwyciężał fizycznie — Leon XIII moralnie. Chociaż księży w Prusach pakowano do kozy i wyganiano, chociaż „ustawy majowe" zachowały moc dawną, prześladujący coraz bardziej tracili na sile, która przyrastała prześladowanym. Gwałt bowiem powoli zaczął tracić złudne pozory i ukazywać swą drapieżność, a przytem ostrzeliwał on ciągle twierdzę, której zburzyć nie mógł. Ten i ów ksiądz odcierpiał karę lub stracił posadę, ale Kościół pozostał niezdobytym. Wobec tej jego wytrwałości ks. Bismarkowi przyświecała jedna tylko nadzieja — doczekania się pomocy z wewnątrz twierdzy— zdrady w jej załodze. Biskup z Paderbornu, zalecający swym podwładnym uległość dla praw majowych, wyglądał na takiego pożądanego sprzymierzeńca — pożądanego tem bardziej, że jego przykład mógł stać się zaraźliwym. Stąd skromny okólnik dyecezyalny nabrał takiego znaczenia, stąd okrzyki radości dzienników konserwatywnych (ewangielickich) i narodowo-liberalnych a głębokie jęki ultramontańskich, stąd wrzawa, która przez kilka tygodni napełniała kolumny prasy niemieckiej. Do ostatniej chwili nie wiadomo było, jaką rolę chce odegrać główny bohater tej awantury; naciśnięty bowiem wyrzutami swych współwyznawców wydał „objaśnienie" do okólnika, które jeszcze wyżej posunęło go w indeksie. Nasuwała się skutkiem tego wątpliwość, czy papież, długo milczący, nie upoważnił tajemnie biskupa z Paderbornu do śmiałego kroku. Nareszcie klerykalna *Germania* „wzniósłszy ręce ku niebu, które w swej mądrości urządziło wszystko tak wspaniale" zaśpiewała „dziękczynne hosanna!" Nieposłuszny biskup „z rozkazu Ojca św. odwołał i unieważnił swoje orędzie."

Pozostawiamy radość tym, dla których ją niebo przeznaczyło, i zapisujemy przedmiotowo fakt przywrócenia karności w Kościele a tem samem i rozczarowania w obozie przeciwnym. Nadzieja łaknąca odszczepieństwa i opierająca na nim rachuby — zawiodła. Znowu, jak dotąd, niema w Prusach biskupa, uznającego „prawa majowe," znowu, jak dotąd, papież panuje nad swą armią wszechwładnie.

Ile ta armia zrobiła złego ludzkości — wiemy, ale niepodobna nie podziwiać jej organizacyi i taktyki. Pokutna włosiennica biskupa z Paderbornu najwymowniej uwidocznia surowy, niezłomny a przez to zwycięski jej regulamin, który nie oszczędza jednostce żadnych upokorzeń dla osiągnięcia korzyści zbiorowej. Ile władz osłoniłoby swych samowolnych dostojników i upomniałoby ich tajemnie — papież nie waha się jawnie skarcić biskupa działającego na własną rękę, zdeptać jego wolę, jego przekonania przed całym światem. Trzeba mieć poczucie wielkiej siły, ażeby na to się odważyć, albo może trzeba wiedzieć, że tylko tym sposobem utrzymuje się męstwo w szeregach własnych a obawę w cudzych.

ZDARTA MASKA.

Anglia z dumą zawsze mówiła o swej czystości moralnej a ze wzgardą o zepsuciu Europy. Pomału ustalił się dogmat, ubezpieczający przed wszelką wątpliwością obyczaje angielskie a poniżający inne. Zwłaszcza Francya, jako najbliższe przeciwieństwo, musiała znosić szydercze urąganie sąsiadki. Daremnie szeptano i krzyczano o skrytych kanałach rozpusty londyńskiej — nikt posądzeniom nie wierzył. Jeszcze przed paru zaledwie tygodniami spotkaliśmy w jednej z naszych gazet zdanie, że „Anglia stoi moralnością."

Gdyby nagle otwarto drzwi ścieku, w który spływają nieczystości wielkiego miasta, zabijająca woń tłumionych wyziewów sprawiłaby takie wrażenie, jakie wywołał szereg artykułów w *Pall Mall Gazette*, odsłaniających bezbrzeżne morze rozpusty londyńskiej. W stosunkach an-

gielskich, sklejonych obłudą i udaną skromnością, przestrzegających przyzwoitości zewnętrznej, był to czyn niesłychanie śmiały i wstrząsający opinią publiczną. Ludzie, którzy od wieków nawykli kłamać przed sobą i przed zagranicą, którzy zresztą oprócz tych kłamstw wielu zjawisk nie widzieli, naraz ujrzeli się zatopieni po uszy w olbrzymiem bagnie. Nie dość tego. Najszersze rzeki rozpusty mają swe źródła w górach społecznych: zacni lordowie nurzali się w błocie okryci tajemnicą i obłudą, ani przypuszczając, że ktoś może wyłamać zamknięte drzwi i ukazać ich światu. A to właśnie zrobiła *Pall Mall Gazette.*

Ażeby czytelnicy mieli wyobrażenie, jak ją rozrywano, przytoczymy słowa naocznego świadka, jednego z korespondentów: „Pewnego popołudnia udałem się na ulicę Nortumberlandzką w daremnej nadziei, że w ekspedycyi dostanę jeden numer gazety i uniknę szpon kolporterów. Ulica tak była zatłoczona ludźmi, pragnącymi kupić dziennik, że do jego domu przepchać się nie mogłem. Oczom moim przedstawił się dziwny widok. Tłum ów składał się przeważnie ze sklepikarzów i roznosicieli, którzy staczali z sobą zaciętą walkę o wejście do ekspedycyi i zdobycie cennego towaru. Co pięć minut ktoś wychodził z takim ładunkiem gazety, jaki udźwignąć może mocny robotnik. Ścisk był tak wielki, że policya musiała przywracać porządek. Ale ostatecznie i policyanci zaczęli ułatwiać sprzedaż najnieprzyzwoitszych artykułów, jakie kiedykolwiek wydrukowano. Wszystko to jeszcze nie daje pojęcia o wzburzeniu ludu. Zaledwie dziennik został przeczytany, natychmiast znajdował nowego nabywcę. Poważni z pozoru ludzie puszczali się na taką spekulacyę, w której numer kosztujący zwykle 1 penny, dochodził 5, 6 i 10 szylingów."

Oburzeni, a ściślej mówiąc, przerażeni lordowie żądali natarczywie, ażeby redakcyi *Pall Mall Gazette* wytoczono proces o „obrazę moralności;" dotąd wszakże nie pociągnięto do odpowiedzialności wydawcy, który zagroził wyjawieniem nazwisk. Potworne bowiem obrazy przesunęły się bezimiennie. Niejeden szanowny mąż, reprezentujący cnotę na ławach Izby niższej lub wyższej, poznał siebie w tych obrazach, a teraz drży, ażeby nie wywołano wilka z lasu, ażeby jego pruderyi nie wywrócono brudną podszewką na wierzch.

W literaturze, jak w innych dziedzinach życia, są handlarze zgorszenia, którzy sprzedają papier zaczerniony rozpustą; ale nie należy nigdy w równym rzędzie z nimi stawiać obywateli kraju, przykładających rozpalone żelazo do rany, ujawniających złe dla uleczenia go. Taki poważny charakter miały artykuły *Pall Mall Gazette,* chociaż w nich roiły się wszystkie robaki zgnilizny moralnej. Anglia zobaczyła, co nosi w swem wnętrzu, a ten straszny widok będzie dla niej pamiętną lekcyą. Już potworzyły się komitety, mające przeciwdziałać zepsuciu, a gdy raz z oblicza „królowej wód" zdarto obłudną maskę i zgaszono nad jej głową aureolę czystości, kłamstwo nie tak prędko zdoła znowu zataić prawdę.

LISTY KRAKOWSKIE.

Kraków, 20 lipca.

Jeszcze nie zdołano powetować ciężkich klęsk, jakie zeszłoroczne powodzie zadały Galicyi, a już zjawiło się nowe widmo nędzy, przyniesione w doliny krakowskie falami wezbranych rzek górskich. Wisła wystąpiła z koryta, galicyjskie jej dopływy rozigrały się bez miary, obawa zeszłorocznych wylewów zagroziła nie na żarty. Na szczęście z ustaniem deszczów woda przez parę dni utrzymywała się w niezmienionym poziomie a potem zwolna, lecz stale zaczęła opadać. Klęska minęła — ale bez strat nie obeszło się. Przerażające wieści z okolic Zatora, Wadowic, Myślenic, Nowego-Targu itd. itd. głosiły o zalanych polach, o ludziach bez dachu, o porwanych przez wodę mostach — słowem malowały obraz dość znacznej powodzi. Ponieważ jednak spodziewano się stanu daleko groźniejszego, przeto smutne nowiny nie sprawiły zbytniego wrażenia a kraj nie odczuł ich dotkliwie. Przyzwyczajono się już u nas do powodzi w czasie lata, tak samo, jak przyzwyczajono się do obojętności rządu w tych wypadkach. Czy sam on tylko winien? Dużo by można napisać o tem, jak inne kraje korony habsburskiej umiały dopominać się o poparcie w walce z niebezpiecznym żywiołem, jak posłowie ich targowali się śmiało o pieniądze i opiekę państwa, ale co się tam już pastwić nad tem biednem Kołem polskiem z ostatniego sześciolecia: dość ono samo się chyba nagryzie wyrzutami własnego sumienia i niedrukowanemi skargami zawiedzionej w nadziejach ludności. Bądźmy lojalni — cieszmy się obietnicą rządu, że w najbliższej przyszłości Galicya doczeka się regulacyi rzek — — i wierzmy tym obietnicom.

Współczucia nie zabrakło w Krakowie i tego roku dla zalanych. Zeszłoroczny komitet obywatelski, który tak dzielnie i szybko pospieszył na pomoc dotkniętym klęską, zebrał się na pierwszy alarm i poczynił kroki, na jakie go stać było. Zaproszona do pomocy młodzież akademicka rozjechała się z chlebem i kaszą w zalane okolice, brnąc po wodzie kołami lub na łodziach, dostała się do wygłodzonych ofiar wezbrania i rozdzieliła posiłek tak gorąco pożądany. Jestto jeden z pięknych rysów, cechujących tę młodzież naszą, zawsze pomawianą o zepsucie, o materyalizm codziennego życia, o dążności samolubne, o zgniliznę ducha bez ideałów i zapału: mimo nieustannego jej oszczerstwa, umiano trafić do niej w potrzebie i nie spotkano się z odmową, mogącą łatwo znaleźć usprawiedliwienie w goryczy, w niechęci do współdziałania z niesprawiedliwymi sędziami i obłudnymi oskarżycielami.

---

7)

ASPAZYA

DRAMAT W 5 AKTACH

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

(Wł. Okońskiego).

AKT III.

(W domu Kaliasa).

SCENA I.

Elpinika, Egina i Kapros.

Elpinika (*którą Egina kończy ubierać*).

To dziwne. Zdaje mi się, że włosy zbyt wysoko związane. (*Niewolnica poprawia*). To dziwne. Podaj mi jeszcze bielidło (*wyciera twarz*). Nie mogę pojąć: Polygnotos był przed naszym domem i nie wszedł?

Egina.

Może obawiał się pana zastać...

Elpinika.

A ty skąd wiesz, że on się pana obawia?

Egina.

Pani kazała mi go wtedy tylko wpuszczać, kiedy...

Elpinika.

Kazałam, ale ty milcz — nawet przede mną, nawet przed sobą. Jeżeli oczy twoje zdradzą to jednem mrugnięciem, każę je zalać roztopioną żywicą. Nie rozmawiał z tobą?

Egina.

Owszem.

Elpinika.

Czemuż mi odrazu tego nie powiedziałaś, głupia śmieciucho! O co pytał? (*Niewolnica milczy*). O co pytał?

Egina (*zmieszana*).

Czy bym nie pozwoliła mu siebie... odmalować.

Elpinika.

Odmalować — ciebie — moją niewolnicę! A to zgroza! Pod rózgami puścisz ty dla niego, podła liszko, czerwoną farbę!

Egina (*klęka*).

Litości, pani — com ja winna — przecież nie chciałam.

Elpinika.

Wiedziałaś o tem, że on mnie malował.

Egina.

Tłomaczyłam mu, ale roześmiał się i odrzekł, że...

Elpinika.

Że co? Mów! ..

Egina.

Że panią malował z tyłu, a mnie chce— z przodu.

Elpinika.

Kłamiesz! A, mizdrzyłaś się do niego — ale ja cię tych umizgów oduczę. Naprzód precz! Chlewy podmiatać będziesz — nie mnie ubierać. Albo nie! Kapros!

Kapros.

Jestem.

Elpinika.

Sprzedasz ją dziś za byle co, komukolwiek... A przed wyprowadzeniem na targ daj jej dobrą pamiątkę, ażeby długo mnie wspominała. Ochłostać z przodu! Czy Traks jeszcze nie przyszedł?

Kapros.

Przyjdzie niezawodnie.

Elpinika.

Zaraz mi o tem donieś. (*wskazuje na niewolnicę*). Na jej miejsce potrzebuję innej— która tam zwinna?

Kapros.

Może numer drugi.

Elpinika.

Nie.

Kapros.

Może piąty.

Już to Kraków nie może żalić się na dobre serca swych obywateli. Jeśli tylko interes stronnictwa lub koteryi nie naraża się na szwank a samo dobre serce wystarczy — to najzacieklejsi, najmałoduszniejsi pseudomężowie stanu chętnie biorą się do wspólnej pracy, która często dobre oddaje przysługi. Pięknym tego dowodem jest utworzenie komitetu kolonij wakacyjnych. Myśl ta ostatnia, wprowadzona niedawno w życie we Lwowie, złote wydała owoce; przeszczepiona na grunt tutejszy równie pięknie zakwitła, dzięki gorliwości komitetu. Warunki hygieniczne miasta naszego są okropne. Najprostsze zestawienie statystyczne wystarczy, by Krakusowa stolica dostała palmę... śmiertelności mieszkańców na równi z najniezdrowszemi mrowiskami proletaryatu zachodniej Europy. Przedewszystkiem dają się te stosunki we znaki dzieciom. Całe dzielnice miasta wznoszą się na osuszonych bagnach, pełnych zimniczego zarazka: wadliwa kanalizacya w połączeniu z przepełnieniem mieszkań klas uboższych uzupełnia szereg szkodliwych czynników. Choroby dziedziczne i zakaźne błąkają się po zaułkach przedmiejskich jak upiory, drwiąc z magistrackich komisyj zdrowia i przepisów rady szkolnej, szerząc między dziećmi ubogich klas śmierć lub przewłócząc z pokolenia na pokolenie stokroć gorsze charłactwo fizyczne. Komitet kolonij wakacyjnych podjął też iście obywatelską pracę, postanawiając choć w części usunąć złe, które zaniedbaniem wzmódz by się mogło do niesłychanych rozmiarów. Dwie gromadki dziatwy osadzono w najpiękniejszej i najzdrowszej okolicy miasta, darząc je nieznaną może jeszcze nigdy swobodą ruchu, świeżem powietrzem i posilną strawą. Jeśli składki dopiszą—to w sierpniu komitet uszczęśliwi nową garstkę kolonistów. Naturalnie, że niczem to wszystko wobec ogromu złego. Kolonie wakacyjne nie wykorzenią zimnicy, zołzów, gruźlicy i angielskiej choroby—podobnie jak stu innych chorób, których przyczyny tkwią bardzo silnie i bardzo głęboko. A jednak ktoby dla tego, w przeświadczeniu o bezskuteczności usiłowań jednostek wobec dzisiejszego ustroju społecznego, szyderczo patrzył na tę radość biednego drobiazgu, ktoby chciał tym wychowańcom wilgotnych barłogów gwoli doktrynie nielitościwej odebrać widok złoconych zbożem pól i błękitnego nieba, ten by sądził naukowo, lecz nie miałby chyba serca w piersiach. Są uczynki ludzkie, które nie usuwają złego, ale je znośniejszem czynią... choćby na dwa miesiące.

W czerwcu skończył się rok szkolny wielu zakładów wychowawczych, które z tego powodu urządziły wystawy całorocznej pracy swych uczniów. Najwięcej zwiedzana była wystawa robót uczniów szkoły, od roku przez Radę miejską założonej. Głosiły o niej afisze rozlepione po rogach ulic, mianując szumnie skromny zakład nauki elementarnego rysunku — *szkołą dla artystycznego przemysłu*. Dziecię to profesorskie, zrodzone na posiedzeniach Rady miasta, do wielkich przeznaczone było rzeczy: miało wyrość w potężną instytucyę, odrodzić rękodzieła, wytworzyć popyt na utwory krakowskie, współzawodniczyć na europejskich targach z produkcyą Wiednia i Paryża. Dużo o tem ojcowie miasta mówili przed rokiem—a choć złośliwi twierdzili, że Szkoła wyrosła z potrzeby wymyślenia posady dla pewnego zdolnego i utalentowanego ucznia zakładu przy austryackiem Muzeum w Wiedniu, umiano jednak uznać wysoką potrzebę takiej instytucyi i głoszono z góry o jej pożytku. Zdaje się, że łatwiej było małemu jak Kraków pod względem przemysłu miasteczku wysłać kilku światlejszych i zdolniejszych rękodzielników zagranicę dla wykształcenia gruntownego, niż tworzyć w lichej i ubogiej szkółce proletaryat niedouczony. Trudno myśleć, by Kraków istotnie mógł współzawodniczyć za pomocą uczniów nowej szkoły z olbrzymimi zakładami stolic zachodnich na polu sztuki zastosowanej do przemysłu. Nie doroślismy jeszcze do tych potrzeb, i łatwo było z góry już przewidzieć, że uczniów zabraknie. Tak się też stało.

Wystawa mieściła się w dwóch niewielkich salkach. W pierwszej spotkaliśmy kilkanaście robót rzeźbiarskich, kopij ornamentacyjnych, jakie widzieć można było na każdej wystawie we zwiniętej dla obecnego zakładu szkole rzemieślniczej—ale w liczbie daleko większej. W drugiej sali wystawiono szeregi kopij rysunkowych cieniowanych kredką, z gipsów — jak w szkołach realnych, dalej zeszyty z rysunkami geometrycznymi a w końcu, jako jedyną ozdobę i cechę szkoły, próby ornamentów, wykonane przez uczniów, nie umiejących dobrze władać ołówkiem. Mimo to wszelkie uznanie oddać należy p. Barabaszowi, kierownikowi zakładu, który z zapałem i poświęceniem robił wszystko, co mógł, dla podniesienia artystycznego poziomu. Ale praca jego jest daremna i owoców nie wyda. Ogół bowiem podobnej szkoły nie potrzebuje, a dla kilku zdolniejszych nie warto jej utrzymywać; lepiej dać im stypendya na podróż.

Lepsze wrażenie sprawiła wystawa przedmiotów, wykonanych w ostatniem półroczu w żeńskiej szkole robót. Jest to zakład istniejący już od dwóch lat, a rozwija się doskonale. Celem jego — gruntowne wykształcenie uczennic w hafcie, w krawieczyźnie, w koronkarstwie, z uwzględnieniem potrzeb praktycznych, ale nie bez dążeń do wytwornej, niemal artystycznej produkcyi. W trzech dużych salach zgromadzono ogromną ilość robót, zacząwszy od najprostszej bielizny a skończywszy na pysznych haftach, koronkach, i sukniach, ustrojonych ze smakiem i zbytkiem. Kobiety tłumami zwiedzały tę wystawę, ale nie koniecznie trzeba było być kobietą, żeby cieszyć się owocami pracy w tak pożytecznym kierunku. Do niedawna młoda panienka, wyszedłszy z pensyi, gdzie obok francuzczyzny i muzyki nabiła sobie młodą głowę całym arsenałem pojęć oderwanych, nie mających najmniejszego związku z jej późniejszem zadaniem jako żony, matki, obywatelki—musiała się znaleźć w nieokreślonem położeniu, jeśli nie była zmuszona zostać nauczycielką ludową lub guwernantką, bo to były jedyne pola pracy wykształconych kobiet. Lat kilka, dzielących ją od upragnionego zamążpójścia, spędzała bezczynnie, nauczywszy się już sumiennie wszystkiego, co według planu trzeba umieć a według prawideł życia wcześniej lub później zapomnieć. Dla zachowania pozorów zajęcia udawała się zazwyczaj do *Muzeum*, gdzie najrozmaitsi profesorowie i docenci świeccy i duchowni doskonalili ją dalej w astronomii, filozofii, historyi kościoła, pedagogii, literaturze i matematyce lub też uczono ją rysunków i malarstwa do tego stopnia, że nie nauczy-

---

Elpinika.

Nie — a ta niedawno kupiona z Nory?

Kapros.

Zręczna, ale brzydka.

Elpinika.

I owszem — to jest... nic nie szkodzi. Przywołaj ją tu — nazywać się będzie Nora.

Kapros.

Służę. (*wychodzi z Eginą*).

Elpinika (*sama*).

Ach, czemu już nie jestem młoda! (*Wchodzi Nora*).

SCENA 2.

Elpinika i Nora.

Elpinika.

Czyste masz ręce?

Nora.

Czyste.

Elpinika.

Popraw mi sznurówkę u trzewika. (*Nora schyla się do nóg Elpiniki*). Od dziś przeznaczam cię wyłącznie dla siebie. Nie będziesz tu nikogo widziała, prócz mnie, nie będziesz niczego słyszała, prócz moich rozkazów. Masz milczeć jak ryba, nawet wtedy, gdy pan o cokolwiek się zapyta. Wszystkie odwiedzające mnie osoby powinnaś znać a udawać, że nie znasz nikogo. Rozumiesz?

Nora.

Doskonale. (*powstając*) Już teraz nóżka śliczna.

Elpinika.

Śliczna? Wyglądasz na roztropną. Obejrz mnie dobrze — ubranie w porządku?

Nora.

Jak na posągu.

Elpinika.

A głowa?

Nora.

Żaden posąg takiej niema.

Elpinika.

Istotnie? Więc ja ci się podobam!

Nora.

Ach, taka pani pachnąca, taka strojna, taka... ładna.

Elpinika.

Ileż ja według ciebie mam lat?

Nora.

Oj, nie wiele.

Elpinika.

Więcej niż czterdzieści?

Nora.

Chyba razem z matką.

Elpinika.

Przesłodziłaś pochlebstwo. Ale polubiłam cię. (*wchodzi Kapros*).

SCENA 2.

Też i Kapros, później Hermipos.

Kapros.

Sprzedałem już Eginę za dwie miny.

Elpinika.

Któż ją tak prędko kupił?

Kapros.

Polygnotos.

Elpinika.

Polygnotos!

Kapros.

Ten malarz, który u pani bywa. Spotkał nas przed domem...

Elpinika.

Ach, ty głąbie, ty ryju, coś zrobił! Bogi, jakąż ja mam służbę! Wszystką szczecinę wydrę ci z tego zagwożdżonego łba!...

Kapros.

Pani miłosierna, przebacz najnędzniejszemu, który nie wie, czem zawinił.

Elpinika (*do siebie*).

Czy mogłam przypuszczać! (*do Kaprosa*). Wziął ją z sobą?

wszy się dobrze rysować, nabierała przekonania, iż jest artystką, a zatem, że powinna jak najwięcej malować, umieszczać roboty na wystawach i sprzedawać. Proletaryat artystyczny powiększał się co roku szeregiem koleżanek. Byli i tacy niesumienni ludzie, którzy nie szczędzili zachęty i pochwał. Tak więc panny filozofowały lub malowały w muzeum, dopóki nie trafiło im się złożyć matury... przed ołtarzem. Łatwo pojąć, jaka wartość takiej banalnej nauki—ile kobiet młodych uwiedzionych szerokim planem muzealnej wiedzy przybywało tu z daleka, traciło czas i pieniądze na studya, za które nawet poważnego patentu się nie dostawało—a w najlepszym razie mogły tylko zwiększać zastęp współubiegających się na ciasnym obszarze pracy kobiecej: na polu domowego i ludowego nauczycielstwa. Szkoła robót znacznie już rozszerzyła zakres tej pracy, a dzielnie dopomaga jej w tem Kurs handlowy dla kobiet, który choć nie dawno istnieje, zapewnił już niezależny i znośny byt swym wychowankom, jak najchętniej przyjmowanym nawet w rządowych biurach.

. . . .

Przed rozpoczęciem wielkich feryj ucząca się młodzież postanowiła za inicyatywą Czytelni akademickiej, wydać w ciągu przyszłego półrocza zbiorową książkę, coś w rodzaju rocznika. Będzie to szereg prac naukowych i literackich najzdolniejszych uczniów różnych wydziałów; ponieważ zaś sprawę ujęli w ręce ludzie niezawisłego zdania i szczerze postępowi, przeto można przypuszczać, że całość będzie ożywiona takimże samym duchem. Z prawdziwą radością oczekujemy wydawnictwa, bo dość już długo drzemała ta młodzież, która przed paru zaledwie laty wydobyła się na wierzch i zajęła przodujące miejsce w pośród uczącego się pokolenia polskiego zarówno w kraju, jak za granicą. Upadły pisma wydawane przez krakowskich akademików, ich wpływy gdzieś stopniały, a coraz większa liczba zbiegów przenosi się pod stańczykowskie znaki. Ostatnie czasy, wypełnione zatargami z akademickim senatem, zmarnowały dla błahego celu dużo zapałów i chęci. Z rocznikiem poczną się może lepsze czasy, bo znalazł się duchowy łącznik dla rozbitych na drobne kółka obozów, łącznik stokroć donioślejszy dla przyszłości, niż pytania, czy rektor uniwersytetu ma prawo zawieszać to lub owo postanowienie zarządu Czytelni, lub czy lepiej być pod opieką policyi, czy też kuratoryą senatu. Lista współpracowników jest nadspodziewanie długa i wiele obiecująca—nie pozostaje więc nic innego, jak tylko życzyć serdecznie nowemu zamiarowi jak najlepszego powodzenia.

M.

Z FRANCYI.

Paryż, 20 lipca.

Uroczystość 14 lipca w Paryżu. — Voltaire i Beranger. — Gambetta i upadek oportunizmu. — Zwycięstwo radykalnych i zarodek partyi konserwatywno-republikańskiej. — Ribot i Clemenceau. — Program polityczny radykalnych; ich program ekonomiczny i socyalny. — Stosunek politycznego radykalizmu do partyj robotniczych. — Paryż wyludnia się.

Rocznica zdobycia Bastylii, zrobiona przed pięciu laty dorocznem świętem republikańskiem, zakorzeniła się szybko we Francyi. Jest to dziś nietylko uroczystość urzędowa lecz i ludowa zarazem. Pomijam przeglądy wojska, lubionych tu powszechnie batalionów szkolnych, różne ognie sztuczne i urzędowe dekoracye—ważniejsze jednak to, że dzień 14 lipca wypisany jest w kalendarzu grubemi literami, że wszelka praca w dniu tym ustaje, ulice gęsto zawieszone są chorągwiami, chorągiewkami i lampionami, a ludność cała przybiera strój i nastrój świąteczny, oddając się całą duszą rozrywkom.

Dzielnice robotnicze najbardziej suto i barwnie bywają przyozdabiane. Na wielkich i małych placach rozkładają się wszelkiego rodzaju budy i budynki, służące do zabaw ludowych. Są to karuzele i huśtawki, młyny dyabelskie i niedyabelskie, gry najrozmaitsze obok mniej lub więcej pociągających widowisk. Publiczność bawi się tem wszystkiem ochoczo, z nieznaną u nas swobodą i humorem. Na drewniane konie w karuzelach i karkołomne huśtawki siadają nietylko dzieciaki i tak zwane pospólstwo, lecz bardzo przyzwoici panowie z gustownie wystrojonemi damami, współzawodnicząc w wesołości z wyrostkami. Gdzie przytem znajdzie się tylko jakiś kąt wolniejszy na ulicy, pod gołem niebem, powstaje na prędce z desek estrada, zasiada na niej orkiestra i skoczne tany trwają przez noc całą... Na balach tych ulicznych panuje demokratyczna równość i tolerancya. Od udziału w tańcach nikt nie jest wykluczony — tylko oczywiście arystokracya i bogatsze mieszczaństwo nie mieszają się z tłumem ulicznym. Zresztą, kto żyw hasa... Na placu przed Sorboną studenci paryscy tańczą ze swemi kochankami, nie wyłączając zresztą i innych żywiołów ze swego towarzystwa... przecież to święto republikańskie. Najpopularniejszym tańcem jest *quadrille*, który na ulicy ma tempo nieco żywsze, czasami bardzo żywe. Prócz tego jest we zwyczaju rodzaj jakiejś polki, tańczonej bez wdzięku i werwy. O orkiestrach, przygrywających tym uroczystościom, trudno coś pochlebnego powiedzieć. Muzyka ich jest jakąś piskliwą kakofonią, instrumenty dęte przeważnie—publiczność zresztą wtóruje jej głosem i giestami...

W Paryżu pomniki wyrastają jak grzyby po deszczu. W dniu narodowego święta odsłonięto okazałą statuę Voltaire'a przy *quai Malaquais*, naprzeciw Luwru, obok gmachu Akademii francuskiej. Ulany z bronzu, i ma kamienną podstawę z prostym napisem *Voltaire*, 1694—1778. Przy odsłonięciu ze sfer rządowych był Floquet, prezydent Izby poselskiej, w imieniu Akademii przemawiał Sardou, imieniem komitetu pomnikowego Yves Guyot. Fernejski myśliciel ma już tedy dwa pomniki w Paryżu (drugi na skwerze Monge niedaleko od College de France, również z bronzu, wystawiony ze składek publicznych w r. 1872). Nazajutrz po tej uroczystości odsłonięto pomnik Berangera przy skwerze „du Temple."

Niezadługo zapewne odsłonięty będzie i pomnik Gambetty przy placu Carrousel, w dziedzińcu Luwru, naprzeciw łuku pozostałego ze spalonego pałacu Tuileries—poczyniono już bowiem przygotowania do budowy. Kto by przypuszczał, że Gambetta będzie miał tak szybko pomnik (inny wystawiono mu już w roku zeszłym w ro-

---

Kapros.

Wyzwolił.

Elpinika.

Co ty bredzisz?

Kapros (*wystraszony*).

Gdy Polygnotos mi płacił, nadeszła obywatelka Aspazya...

Elpinika.

Nie obywatelka — plugawcze!

Kapros.

Nadeszła Aspazya, żona Peryklesa...

Elpinika.

Nie żona! Hetera! Powtórz: hetera!

Kapros.

Hetera Aspazya i zaczęła mu coś wymawiać a wreszcie prosić, ażeby niewolnicę jej odprzedał. Dla pięknej Aspazyi nawet ją wyzwolę — rzekł Polygnotos i...

Elpinika.

Dosyć! dosyć! (*do siebie*) Kundel, i on już będzie latał za tą... O, ja ją wreszcie do budy zapędzę! Zeusie, pomóż mi, tyś wszechmocny! (*Idzie w głąb sceny do auli i staje przed ołtarzem*).

Kapros.

Co ją tak ukąsiło?

Nora.

Pst!

Kapros.

Ani się domyślam...

Nora (*szepcze*).

Gawronie, przecież ten Polygnotos widocznie w jej sercu leży...

Kapros.

Taki młody, śliczny chłopiec wlazłby do serca starej i brzydkiej baby!

Nora.

Cicho... nie wymawiaj tego, ażebyś przez sen nie wypaplał. Ona by cię na pasy podarła.

Kapros.

Malował ją, ale z tyłu, pisywała do niego listy, ale on rzadko bywał. Może raz kiedy się odważył... O co ona boga prosi? Ktoś drzwiami skrzypnął (*wybiega*).

Kapros (*za sceną*).

Jest! (*wchodzi Hermipos*).

Hermipos.

Gdzie twoja pani?

Nora (*kłania się, wskazuje Elpinikę i wychodzi*).

Elpinika (*spostrzegłszy Hermiposa, zbliża się*).

Dzień dobry.

SCENA 3.

Elpinika i Hermipos.

Hermipos.

Przerwałem modlitwę.

Elpinika.

Już bóg wie, o co go prosiłam.

Hermipos.

Często z nim zapewne rozmawiasz. Niestety, muszę czystą krynicę uczuć niebiańskich zmącić w twej duszy brudną sprawą ziemską.

Elpinika (*ciekawie*).

Co takiego?

Hermipos.

Schwytałem tajemnicę, że na dzisiejszem zgromadzeniu narodowem Perykles zamierza prosić o przyznanie jego synom praw obywatelskich, których im dotąd, jako zrodzonym z cudzoziemki, odmawiano, a nawet chce przeprowadzić ogólne równouprawnienie dzieci z takich związków.

Elpinika.

To byłoby zbyt bezczelne.

Hermipos.

W tej właśnie sprawie tu przybyłem. Obecność męża twego na zebraniu jest niezbędną. Zajmując wysokie stanowisko rodowe i pieniężne, posiadając rozległe stosunki i możność wywarcia nacisku na wielu obywateli od niego zależnych — za-

dzinnem mieście Cahors) naprzeciw szczątków cesarskiego pałacu; nie łatwo także przyszłoby przed kilkoma jeszcze laty uwierzyć, że spodziewane niezadługo odsłonięcie pomników trybuna z Belleville przypadnie jednocześnie z pogrzebaniem oportunizmu, którego Gambetta był twórcą. A jednak obóz oportunistów, złożony z przyjaciół i uczniów ex-dyktatora, jest dziś rozbity zupełnie i odepchnięty ku konserwatywnej prawicy... Ostatni z tego obozu gabinet Ferrego upadł pod naciskiem radykalnych, prowadzonych przez Clemenceau; przyszło do władzy ministeryum Brissona z lewicą radykalną, a wkrótce zapewne, może już po nadchodzących wyborach, obejmie kierownictwo gabinetu sam poseł z Montmartre, przywódca lewicy skrajnej. W ubiegłą właśnie niedzielę Clemenceau wypowiedział w Bordeaux wielką mowę programową, po której uznano go jednogłośnie prawie za przyszłego prezesa ministrów i następcę Gambetty...

Rozwój republikański postępuje ostatniemi laty dość szybko. Właściwie republikanie przyszli do władzy dopiero po poronionym zamachu Mac-Mahona, 16 maja 1877 r. Od tego czasu kolejno szły po sobie partye coraz radykalniejsze: lewy środek, unia demokratyczna, unia republikańska (oportuniści); obecnie jest u steru radykalna lewica, a przyjdzie doń zapewne niebawem lewica skrajna. Po za tem ostatniem stronnictwem w Izbie poselskiej żywiołów radykalniejszych nie ma. Są jednak po za Izbą i po wyborach, mogą się znaleźć w sejmowej sali pałacu Burbońskiego.

W przeciągu tych lat ośmiu republikańskiej polityki wewnętrznej nie zrobiono oczywiście zbyt wiele, zwłaszcza, że stwierdzony przez Gambettę oportunizm zajmował się raczej układami z obozem nieprzyjacielskim i godzeniem własnej rzeszy niż reformami. Po śmierci dopiero swego wodza oportuniści, zjednoczywszy się ściślej, postanowili dać Respublice urządzenia republikańskie. Próba ta powiodła się tylko częściowo. Rozpoczęto w różnych kierunkach przekształcenia; zrobiono najwięcej w dziedzinie wychowania publicznego, cokolwiek w sprawie wyemancypowania się z pod przewagi duchowieństwa, odrobinę w armii, niektóre ulepszenia w konstytucyi... Wszystkiego tego jednak było nie wiele—a stary ustrój Francyi domaga się gruntownej przeróbki, jeżeli nowa forma rządu ma się zakorzenić i wydać należyte owoce. Oportuniści okazali się bezsilni do prowadzenia dalej tego dzieła. Wstrzymując zastosowanie bezzwłoczne różnych zasad kardynalnych—doszli wreszcie do unicestwienia samych zasad i utracili wspólny grunt pod nogami. Zawiesiwszy przytem na kołku donioślejsze reformy wewnętrzne, gabinet Ferryego rozpoczął dość nieszczęśliwie politykę zdobyczy kolonialnych, która naraziła kraj w krótkim czasie na stratę 400 milionów. Radykalni, którzy rządzą Francyą obecnie, oświadczają się stanowczymi przeciwnikami wielkich dalekich i bliższych wypraw awanturniczych i starają się przedewszystkiem o przeprowadzenie ważniejszych zmian wewnętrznych. Ogłoszony niedawno program minimalny radykalnej koalicyi republikańskiej, który 80 posłów na razie podpisało, domaga się: rewizyi konstytucyi, zaprowadzenia głosowania powszechnego przy wyborach do senatu, oddzielenia kościoła od państwa, uregulowania budżetu, reformy podatkowej, praw wspomagających wyzwolenie pracy — przedewszystkiem zaś potępia politykę „awantur i zaborów.“ Tego właśnie stanowiska bronił Clemenceau w Bordeaux.

Koalicya radykalna, stawiając program powyższy, oświadczyła wyraźnie, że uważa go za tymczasowy i wyborczy, który z jednej strony ma połączyć znaczną liczbę republikanów, dla utworzenia większości parlamentarnej—z drugiej ma być wykonanym „bezzwłocznie“ po skonstytuowaniu się nowej Izby. Najwięcej przeszkód napotka niewątpliwie sprawa oddzielenia kościoła od państwa—do niewykonalnych przecież nie należy.

Radykalni, stawiając swój program czasowy, zastosowany do warunków obecnych, sami niejako przyznali się do oportunizmu, wyprzedzili oportunistów i wysadzili ich z kozła. Właściwi oportuniści są w wielkim kłopocie. Komitet ich, zbierający się przy ulicy Babylone, pracuje wciąż nad programem i wypracować go jakoś nie może; dobrze poinformowani zapewniają, że w Babilonie tym nastąpiło zupełne pomieszanie języków. W miarę jak rozpada się wielki środek oportunistyczny, występuje coraz wyraźniej obok radykalistów drugi, współzawodniczący z nimi obóz — konserwatystów republikańskich. Za głowę tego tworzącego się stronnictwa uznany został niedawno znany psycholog i pozytywny filozof Ribot. Tytuł ten uzyskał on szczególniej po mowie wypowiedzianej niedawno do wyborców w Saint-Pol. Ribot domaga się zachowania dzisiejszego państwowego ustroju, oględnego postępowania z monarchistami, ażeby ich dla Respubliki pozyskać, częściowych wreszcie ulepszeń na polu finansowem i ekonomicznem.

Clemenceau w mowie swej przyznał zupełną racyę bytu republikańskiemu stronnictwu konserwatywnemu obok postępowego; twierdził nawet, że tylko oba teżywioły wspólnemi siłami zapewnić mogą Francyi rozwój normalny w duchu republikańskim. Wogóle stosunki partyjne w trzeciej Respublice zaczynają się układać na wzór angielski. Tam i tu stają przeciw sobie konserwatyści i radykalni, oba ,przytem obozy prześcigać się będą na polu reformatorskiem. Reformowani wygrać tylko mogą na tych wyścigach.

Wogóle ruch przedwyborczy ożywia się coraz bardziej i ożywienie to wzrastać zapewne będzie w ciągu dwóch miesięcy, które pozostają jeszcze do wyborów. Clemenceau zamierza objechać główniejsze miasta francuskie w celu pozyskania wyborców dla programu swego stronnictwa. W Bordeaux, dokąd pospieszył w otoczeniu radykalnego sztabu, doznał dobrego przyjęcia. Kilka tysięcy wyborców, mimo skwarnego gorąca, słuchało jego mowy. Nie brakło licznych interpelacyj. Na zapytania zwolenników rewolucyi oświadczył Clemenceau, że się sprzeciwia stanowczo gwałtownemu przewrotowi. On i jego stronnictwo pragną dać Francyi jaknajszersze swobody republikańskie; starać się będą także o przeprowadzenie reform, które umożliwią pokojowy rozwój społeczny. Przywódca radykałów francuskich oznajmił rowneż, że jest zdecydowanym indywidualistą, zwolennicy jednak kolektywizmu mieć będą otwartą drogę do przeprowadzenia swych planów środkami legalnymi, w ramach rozwijających się urządzeń republikańskich. Radykalizm fran-

---

ważyłby swym wpływem skutecznie. Tak sądzi i Tucydydes.

Elpinika.

Co za fatalność! Kalias rano wyjechał na wieś — do fabryki.

Hermipos.

Kiedy wróci?

Elpinika.

Nie wiem. Robotnicy zbuntowali się, jedni żądają usunięcia administratora a drudzy nadto podwyższenia zapłaty. Są zaś między nimi i ludzie wolni oraz wyzwoleni, z tymi trzeba się układać.

Hermipos.

Szkoda.

Elpinika.

Ha, zyskamy dwu nowych obywateli—bo zdaje się tylko dwu synów dała Peryklesowi ta rozpustnica.

Hermipos.

Aspazya — tak.

Elpinika.

Czy on obok niej ma jeszcze podobne żony?

Hermipos.

Liczne, tylko na szczęście dla obywatelstwa ateńskiego bezpłodne. Naprzód tak zwane przyjaciółki Aspazyi, które schodzą się u niej pod pozorem rozpraw literackich i artystycznych, powtóre hoduje ona swemu kogutkowi młode kurki w przytułku dla młodych niewolnic.

Elpinika.

Troskliwa żona.

Hermipos.

On też odwzajemnia się jej nieograniczoną pobłażliwością. Anaksagoras, Sofokles, Fidyasz, a teraz młody Sokrates zastępują go przy żonie kolejno.

Elpinika.

Ciąg dalszy godny początku. W dniu bitwy pod Tanagrą ta bezwstydnica bawiła się z nimi wesoło w mieszkaniu Peryklesa, a gdy on przyjechał, został z nią i kazał narodowi czekać na sprawozdanie z wojny, niby azyatycki tyran, lekceważący swoich poddanych. Oni zapewne i ślub wzięli taki tylko, jak zwierzęta.

Hermipos.

I temu wierzę. Do jakiego cynizmu Aspazya posuwa swoje urąganie z religii i moralności, przekonałem się dziś: wychodząc z domu umarłej przyjaciółki, nieumyła rąk i postępowała za jej pogrzebem z odsłoniętą twarzą. To woła o pomstę do ludzi, do prawa, do bogów.

Elpinika.

Bogowie nas karzą, ludzie znikczemnieli, a prawo, opuszczone przez bojaźliwych archontów i zniedołężniały lub skrępowany areopag, ulega bezkarnym gwałtom jednego zuchwalca. A któraż to z przyjaciółek Aspazyi zakończyła swój dobroczynny dla Peryklesa żywot?

Hermipos.

Diotima.

Elpinika.

Umarła?! Ta młoda, ta waryatka, ta, która... I tyle szumu robiła marna garść prochów! Ha, ha, ha.

Hermipos.

W ostatnich dniach szalała bez żadnej powściągliwości. Skupowała gromadami małe niewolnice dla Aspazyi, rozrzucała pieniądze biednym, podburzała ich przeciwko bogatym, a tak opętała Eurypidesa, że bywał z nią sam w teatrze.

Elpinika.

Nad tym człowiekiem płaczę. Pochodzi z arystokratycznej rodziny, posiada wielki talent, który marnuje w lichem towarzystwie. Żonę wypędził, do świątyń nie uczęszcza, nawet pije...

Hermipos.

Czegoż innego mógł się nauczyć na dworze Aspazyi, gdzie jedynie wyznawaną jest religia wolnej miłości, gdzie Anaksagoras uchodzi za wielkiego mędrca, a Sofokles za najznakomitszego tragika? Odbywają się tam rozprawy a podobnoi czy-

cuski, aczkolwiek często przyczepia sobie przymiotnik „socialiste,“ niema jednak nic zupełnie wspólnego z nowożytnym socyalizmem, który uspołecznienie środków i narzędzi produkcyi uważa za swą zasadę kardynalną. Stronnictwo socyalistyczno-kolektywistyczne we Francyi rozwija i organizuje się dotąd po za sferami parlamentarnemi. Między zasadami kolektywistów a wyznawanemi przez radykalnych znalazł by się może pomost w dążeniu do popierania stowarzyszeń i związków robotniczych, co częściowo wchodzi w program radykałów, a nawet przyjmowanem jest przez umiarkowaną partyę socyalistyczną t. z. „possibilistów“—przyznać jednak należy, że sprawa społeczna jest najsłabszą stroną francuskiego, radykalnego parlamentaryzmu. Żaden ścisły program nie jest w tym względzie wyrobionym, lecz panuje najzupełniejszy zamęt wyobrażeń. Jest to jednak punkt ważny, od którego zależy cały dalszy rozwój francuskiego radykalizmu. Masy robotnicze odegrywają tu wybitną rolę przy głosowaniu; główni postępowi działacze polityczni opierają się przeważnie na głosach robotniczych i o nie bardzo dbają. Z natury więc rzeczy przyjść musi kiedyś do porozumienia między radykalizmem politycznym i żądaniami robotników. Dotąd ci ostatni popierali zawsze radykalizm polityczny przy wyborach, czując dobrze potrzebę swobodnego rozwoju i wolnej organizacyi; gdy jednak sprawa reform politycznych zostanie już raz załatwioną, z konieczności wystąpią na pierwszy plan sprawy społeczno-ekonomiczne.

Sprawy te nigdy właściwie nie tracą swego znaczenia. Ot naprzykład, ktoby przypuszczał, że ludność Paryża ostatnimi czasy zmniejsza się, a jednak tak jest—dzięki obecnemu przesileniu ekonomicznemu i innym przyczynom, które stale, zdaje się, oddziaływać będą. Dziennik *Patrie*, opierając się na cyfrach dotyczących spożycia i tym podobnych danych, wykazał, że ludność Paryża zmniejsza się od lat kilku. W roku bieżącym już spadła o 100,000 głów przeszło. Wielu istotnie robotników opuściło stolicę, szukając gdzieindziej zatrudnienia. Niektórzy przytem przedsiębiorcy dla uniknięcia wysokiej stosunkowo płacy robotniczej przenoszą swe fabryki na prowincyę, znajdując tam tańsze siły i inne dogodności. Tę emigracyę przemysłu z wielkich ognisk zauważono już w kilku miastach francuskich. W Lyonie naprzykład cały nowszy fabryczny przemysł tkacki rozwija się w okolicach zamiejskich; w samem mieście pozostają tylko stare warsztaty tkackie, prowadzone w sposób rękodzielniczy. Czyżby to miał być początek ruchu, zdążającego do wyludnienia olbrzymich ludzkich zbiorowisk a zapełnienia natomiast głuchej i pogardzanej prowincyi?... Na zmianie takiej społeczeństwo nic by zapewne nie straciło.

P.

PARADOKSY.

III.

W rozprawie następnej p. t. „Psychofizyologia talentu i geniuszu,“ Nordau daje obszerny wywód pojęcia tych stanów umysłowych, potoczne o nich gawędy mieniąc „paplaniną nieokreśloną, której głównem tłem są rzeczowniki wyrażające podziw i przymiotniki pełne pochwał.“ Rozumowania swoje popiera wszędzie ścisłemi danemi z nauk przyrodzonych, przeważnie z anatomii. Argumentów tych niepodobna nam tu powtarzać dla braku miejsca. Zaznaczymy tylko, iż autor równie biegłym jest znawcą ustroju cielesnego, jak psychologiem i myślicielem (Nordau z powołania jest lekarzem). Talent określa jako istotę, która pewne czynności powszechne lub często powtarzane wykonywa lepiej, aniżeli ogół tych, którzy tę samą zdolność przyswoić sobie usiłowali. Geniuszem, podług niego, jest człowiek, który wynajduje nowe, przed nim nigdy jeszcze nie spełniane czynności, lub też dawniejsze wykonywa w sposób sobie właściwy, czysto osobisty. O talencie wyraża się, jako o istocie, o geniuszu zaś, jako o człowieku, chcąc przez to dać do zrozumienia, że talent istnieć może i w świecie zwierzęcym. Pudel, który uczy się sztuk więcej zawiłych, aniżeli inne psy—jest talentem; podobnież synogarliczka lub kanarek, śpiewające lepiej, aniżeli inne osobniki tego samego gatunku. Geniusz natomiast tylko pomiędzy ludźmi zdarzyć się może. Polega on na tem, że obdarzona nim jednostka nowe toruje sobie drogi, po których przed nią nie stąpał nikt. Pomiędzy talentem, a geniuszem zachodzi różnica nie ilościowa, ale jakościowa. Przyczyna tej różnicy leży w nierównym stopniu rozwoju ośrodków mózgowych. Dla kogo, powiada, czynności duchowe są objawami duszy, a zatem objawami powiewnego gościa przebywającego w ciele ludzkiem, ten zapatrywanie nasze poczyta za śmieszne, lub niemożliwe. Taki nie jest w stanie pogodzić się z myślą, aby Piotr miał więcej duszy, jak Paweł, gdyż tam, gdzie nie ma materyi, nie ma i rozciągłości materyi tylko właściwej, nie ma natężenia, będącego wyłącznym udziałem siły z tąż materyą związanej, a więc nie może być ani więcej, ani mniej, lecz zawsze jedność tylko. Również powiedzieć nie może; że rozmaite dusze różnią się stosownie do istoty swojej, i że nie chodzi przeto o więcej lub mniej, ale o coś odmiennego, gdyż różnica w istocie tego, co jest nie materyalnem (des Nichtstofflichen), tak samo niepojętą jest dla rozumu ludzkiego, jak takaż różnica materyi, którą mniemanie powszechne uważa za jednolitą, niezmienną i zawsze sobie równą. Pozostaje mu tedy jedno tylko tłomaczenie, które właściwie nie jest żadnem, to mianowicie, że łaska boża jednej duszy użycza działalności obfitszej, niżeli drugiej. Kto zaś zgodnie z nauką nowoczesną przypuszcza, że czynności duchowe są sprawami pewnych organów, a mianowicie ośrodków mózgowych, ten zrozumie bez trudności, że organ lepiej rozwinięty działa lepiej, aniżeli mniej rozwinięty. Talent nie ma podstaw anatomicznych. Przy istnieniu jego ośrodki mózgowe żadnych szczególnych cech nie przedstawiają. Autor tak dalece o tem jest przekonany, iż w jednem miejscu twierdzi, że wogóle nie ma talentu, jest tylko pilność i sposobność do wprawy i kształcenia się. Każdy człowiek normalny (określenie wykluczające chorobliwość, skarłowacenie i pozostanie niżej przeciętnego typu dzisiejszej ludzkości) ma w sobie wszystko, czego potrzeba, do spełniania wszelkich czynności w sposób, który

---

ny bardzo swobodne, których zaraza rozchodzi się w szerszych kręgach miasta. Po każdej takiej biesiadzie Aspazya podaje swym gościom oliwki, własną jej ręką zrywane w gaju poświęconym Atenie.

Elpinika.

Ten jej występek i wiele jeszcze innych będę miała możność dziś sprawdzić. Stojąc bliżej bogów, niż inne rzędy społeczne, powinniśmy ich naśladować i bliźnich sądzić sprawiedliwie. Ale gdyby te wieści okazały się niemylne, surowość byłaby naszym obowiązkiem; wtedy każdy środek będzie dobrym, bo każdy będzie ofiarą dla ojca świata. Tak, Hermiposie, należy działać, użyć wszelkich sposobów do wyrwania złego z korzeniem. Jeśli to choroba — trzeba ją wyleczyć, jeśli zaś — jak mniemam — wyuzdana zbrodnia — trzeba ją ukarać. Ach, ukarać niemiłosiernie, ażeby widok katuszy oblicze bogów rozpogodził.

Hermipos.

Niestety, nie mamy władzy.

Elpinika.

Kto to mówi? Ty, Hermiposie, wielki poeto, który możesz winnych wyprowadzić na scenę i ochłostać? Albo nie znasz sił swoich, albo nam ich żałujesz.

Hermipos.

Czułbym w sobie te siły i nie szczędził ich, gdyby mnie nie pochłaniała praca na życie, gdybym nie musiał utrzymywać się tropieniem i oskarżaniem przemytników, wywożących figi z Attyki. Wprawdzie to moje zajęcie przynosi wielką korzyść państwu, ale zamieniłbym je chętnie na obcowanie z muzami...

Elpinika.

Jeśli to tylko ci przeszkadza, uważajmy sprawę za załatwioną. Uwolnię cię od potrzeby śledzenia przemytników i oddam muzom.

Hermipos.

Przyjmuję tę pomoc w imieniu kraju, któremu mam za nią talentem moim odsłużyć.

Elpinika.

Więc żwawo do pracy. Niedługo powinniśmy wystawić w teatrze twoją komedyę, wymierzoną przeciw Aspazyi i jej sromotnej drużynie. Potem zaś obmyślimy razem inny atak... O, bo ja, Hermiposie, mam co do ciebie plan szeroki.

Hermipos.

Będę szczęśliwym, jeśli go w przeznaczonej dla mnie roli należycie spełnię.

Elpinika.

Spełnisz, tylko więcej ufaj sobie, bądź... śmielszym, nawet wobec... mnie.

Hermipos.

Moja nieśmiałość jest czcią dla twoich cnót, dla twego stanowiska, dla...

Elpinika.

Według mnie, ludzie najściślej się wiążą, gdy się conią bez moralnych i społecznych dostojeństw. Chociażby Hermipos nie był poetą, byłby miłym i przystojnym mężczyzną. Dla kobiety zaś ta strona człowieka nie jest nigdy obojętną.

Hermipos.

Hojnie darzysz mnie łaskami...

Elpinika.

Rękę dla przyjęcia ich otworzyłeś, ale serce zamykasz.

Hermipos.

Elpiniko, nie śmiałem pochlebiać sobie, że...

Elpinika.

To też radziłam ci, ażebyś miał więcej odwagi i względem mnie. Niewolnica Nora zawsze wiedzieć będzie, gdzie i kiedy mnie znajdziesz samą. A mąż mój jest... zajęty... dobrotliwy...

Hermipos (*czule*).

O tem marzyłem (*całuje ją w rękę — wchodzi Kalias*).

(D. c. n.).

---

zazwyczaj nazywa się „utalentowanym.“ Powinien tylko przeważnie lub wyłącznie oddawać się danej czynności. Z każdego zupełnie zdrowego dziecka można zrobić wszystko, czego się chce, jeśli się je kształci w pewnym oznaczonym kierunku rozsądnie, dosyć długo i z dostatecznym rygorem. Przy należytem postępowaniu nie byłoby zbyt trudnem wytworzyć pułki, ba, nawet armie całe ludzi wszelkich zawodów: artystów, literatów, mówców, uczonych, bez poprzedniego wyboru, podług losu lub kaprysu, tak, jak się rekrutów ustawia w szeregu, a każdy z tych ludzi musiałby być uznanym za talent. Na tem milczącem przypuszczeniu, polega cały nasz system nauczania. Szkoła przyjmuje za pewnik, że wszyscy uczniowie równo są uzdolnieni i że wszyscy jednakowe cele wychowawcze osiągnąć są w stanie; dla wszystkich przeto jedną ma metodę, jedne zadania, jeden materyał naukowy. Jeśli w rzeczywistości zdarzają się uczniowie dobrzy i źli, zależy to (o ile naturalnie można wyłączyć wszelkie żywioły niedoskonałe, nie typowe, słowem chorobliwe), już tylko od mniejszej lub większej pilności lub możności poświęcania się zadaniom szkoły mniej lub więcej gorliwie. Wprawdzie wszystkie te armie uczonych, mówców, poetów, malarzy itd. nigdy nie stworzą nic nowego, nie rozszerzą granic zawodu swojego, nie posuną jego celów. Ale to, co w tej dziedzinie zrobiono przed nimi, będą powtarzać bardzo zręcznie, z wielką łatwością i bez zarzutu, kto zaś to potrafi, tego nazywa się talentem. Nordau zwraca uwagę, że błędnem jest zdanie dość często głoszone, jakoby talent miał być dziedzicznym. Wypadki powtarzania się w rodzinach tak zwanych talentów podobnej natury—niczego tu nie dowodzą. Cóż bowiem naturalniejszego, jak to, że dziecko od najwcześniejszych lat zachęcone przykładem ojca, wuja itd. myśli swojej taki, a nie inny nadaje kierunek? Syn lekarza od najpierwszej młodości otoczony jest wyobrażeniami lekarskiemi i przyrodniczemi; jeśli nie jest zupełnie tępym, wyobrażenia te z konieczności będą go zajmować, zaciekawiać i popchną w końcu do obioru zawodu ojcowskiego lub innego pokrewnego, a jeśli jest człowiekiem normalnym, bezwątpienia dojdzie do biegłości w tak obranym zawodzie, stanie się talentem. Czyż to dowód, że odziedziczył talent po ojcu? Nie. Tylko zdolność jego do dokładnego nauczenia się wszelkich ludzkich czynności, przez przykład ojcowski skierowaną została na tę właśnie, jaką się zajmował jego ojciec. Jako syn generała ten sam chłopiec stałby się zdolnym wojskowym, jako syn malarza byłby dobrym artystą, w każdym z tych wypadków zaś doszedłby do przyzwoitej mierności, rzadko dalej.

Inaczej zupełnie ma się rzecz z geniuszem. Wyraz ten nie jest prostem określeniem biegłości nabytej przez wprawę długotrwałą. Nie jest to typ normalny, wskutek warunków sprzyjających doskonale rozwinięty. Geniusz jest organizacyą nadzwyczajną, wielce różną od organizacyj normalnych. Polega on na szczególnym ustroju jednego z ośrodków nerwowych, często kilku z nich a czasem nawet wszystkich razem. Dla tego wszystkie czynności zawisłe od tak niezwykle ukształcowanych ośrodków wykonywa w sposób nadzwyczaj dokładny, o wiele dokładniejszy, aniżeli ludzie typu przeciętnego. Ze stanowiska czysto fizyologicznego należałoby o geniuszu mówić w każdym wypadku, w którymby jakikolwiek ośrodek nerwowy, a nawet tkanka jaka, rozwinięte były w sposób nadzwyczajny, daleko przerastający zwykłą miarę. Człowiek silny bardzo, któryby był w stanie stale zajmować się najcięższemi robotami, narażać się na wszystkie dolegliwości niepogody, na brak snu, pożywienia i odzieży niezbędnej i przy tem wszystkiem nie ucierpieć na zdrowiu—mógłby być nazwanym geniuszem siły żywotnej, gdyż ośrodki nerwowe najniższego rzędu, te mianowicie, za sprawą których odbywają się najprostsze czynności organiczne, najzewnętrzniejsze mechaniczne i chemiczne funkcye żyjącej komórki, dosięgłyby u niego najwyższego stopnia doskonałości. W tem znaczeniu Milon z Krotony był geniuszem cielesnym. Jego tkanki mięśniowe posiadały wytrzymałość, jakiej nie miał nikt inny. To też był w stanie dokonywać rzeczy, jakich przed nim nie dokonywano nigdy, które człowiekowi normalnemu wydawały się niemożliwemi i takiemi istotnie były, np. rękoma rozłupywał drzewa na dwoje. Mógłby się znaleść człowiek, któryby miał słuch tak doskonały, że chodząc po ulicy, najwyraźniej słyszałby wszystko, o czem się mówi, a nawet szepcze tylko w najwewnętrzniejszych pokojach domów. Byłby to geniusz słuchu. Doskonałości podobnych jednak nie można nazwać geniuszami dla tego, że nie są wyłącznie ludzkiemi. Najniższe ośrodki posiada każda istota żyjąca, a gdyby siłacz ów miał być geniuszem, do tej samej godności miałaby prawo i żaba, która wrosła w kamień i w tej postaci niezliczone żyje stulecia, albo kot, który zamknięty w rurze żelaznej wśród popiołów, sześć tygodni wytrzymuje bez pożywienia. Do nazwy tej daje tytuł jedynie nadmierne i wyjątkowe rozwinięcie jednego z tych ośrodków nerwowych najwyższego rzędu, które z pomiędzy wszystkich organizmów posiada sam człowiek tylko. W duchu tak ograniczonego pojęcia, podług dowodzenia autora, niewłaściwie nazywamy geniuszami takiego naprzykład Liszta, Makarta lub Dawisona. We wszystkich trzech wypadkach bowiem występuje wyjątkowa doskonałość ośrodków nerwowych bardzo niskiego rzędu. Gra na fortepianie powstaje wskutek poruszeń palcami, rękami i ramionami i przy pomocy uczuć, które te poruszenia czynią mocniejszemi lub słabszemi, wolniejszemi lub szybszemi, jednostajnemi lub mniej prawidłowemi. Własności te w wyższym lub niższym stopniu posiadają i zwierzęta, w każdym zaś razie obejść się bez nich nie mogą tancerze, fechtmistrze, konni jeźdzcy, o których genialności przecież nikt nie pomyśli. Aby być dobrym malarzem potrzeba mieć poczucie kolorów i umieć te kolory zestawiać odpowiednio, oraz mieć zdolność podpatrywania natury i jej naśladowania, co wszystko także po za granice powszedniości nie wychodzi. Co do aktora znów, właściwość jego duchowa polega na udoskonaleniu takich przymiotów organicznych, które należą do najpowszechniejszych nietylko u człowieka, ale nawet u zwierząt wyższego rodzaju, a mianowicie: umiejętności naśladowania i wzajemnego oddziaływania pojęć na ruchy i ruchów na pojęcia. Aktor doskonały, powiada Nordau dosłownie, musi być niby fuzya z nadzwyczaj łatwo odskakującym kurkiem. Jak w tym razie najlżejsze dotknięcie powoduje strzał, tak w tamtym najnieznaczniejsze wrażenie zewnętrzne sprowadza stan duszy, który ma być przedstawionym i który w następstwie własne swe wypracowuje uzmysłowienie. Tak zachowywać się oczywiście może tylko mózg, którego zwoje najwyższe zazwyczaj są niezatrudnione, a więc pracą myśli własnej niezajęte i z tego powodu gotowe zawsze na wszelkie wrażenia zmysłowe właściwemi odpowiadać usposobieniami i wrażeniami. Gdzież tu miejsce dla geniuszu?

Ad. J. Cohn.

LIBERUM VETO.

Miasto bogów. — Za wiele małp. — Ich możliwa u nas karyera. — Naturalizm i pornografia. — Skutek moich prac. — Małpi język w Galicyi. — P. Gorzkowski jako Mefisto Matejki. — List polityczny. — Polskie psy.

Prasa londyńska poświęcała przed kilku tygodniami obszerne artykuły następującemu wypadkowi:

W Benares istnieje „miasto bogów,“ duża i czczona kolonia małp. Posiadają tam one nietylko własną świątynię, ale także osobnych kapłanów. Ponieważ zaś używają nieograniczonej swobody, tak, że wolno im łazić po mieszkaniach prywatnych i gmachach publicznych, ponieważ rozmnożyły się nadzwyczajnie, sami więc bramini przyszli do wniosku, że tych małp Benares ma już za wiele. Ludność przytem oddawna szemrała przeciwko uciążliwej gromadzie „bogów,“ liczącej przeszło 20,000 głów a niszczącej pola i ogrody. Z prawdziwą też radością powitano wiadomość, że bramini postanowili połowę małp sprzedać i zawarli umowę z koleją żelazną o przewiezienie ich do odległego miejsca. Ale czwororęczni „bogowie“ nie dali się podejść: przejechawszy z kapłanami na drugi brzeg Gangesu, skąd mieli dalej powędrować, uznali tę przeprawę za urządzoną dla nich „majówkę“ i wdarłszy się na statki, wrócili do Benares.

Ktoś ze *Słowa*, czytając powyższy opis, posądza mnie zapewne o chęć dowiedzenia, albo że ta gazeta jest w naszej literaturze „miastem bogów,“ albo że małpy, przewiezione na drugą stronę rzeki, nie wróciły wszystkie do Benares, lecz gromadka ich zabłąkała się do Warszawy. Nie, tego wcale nie utrzymuję. Przytoczyłem ów fakt dla tego jedynie, ażeby wykazać, że małpy widocznie nie czytają naszych dzienników i nie znają naszych stosunków, gdyż inaczej kazałyby się niezawodnie odwieźć do Warszawy, gdzie znalazłyby niemniejszą dla siebie cześć, chociaż gorsze owoce, rośliny, wodę i gaiki. Nadewszystko zaś zyskałyby poważne zajęcie, którego w Benares nie mają—szczytne zajęcie kierowników opinii publicznej. Bo proszę rozważyć, co opowiem. Czytelnicy dawniej ze mną znajomi pamiętają może, iż nie byłem nigdy zwolennikiem t. z. „naturalizmu“ w sztuce, chociaż go nie omazywałem idealnem błotem, ani dobrowolnie, ani z polecenia wydawców. Pomijając moje nerwy całkiem niezdolne do wytrzymania wrażeń szpitalnych, rynsztokowych, rozpustnych, szynkownianych, wychodziłem z tej zasady, że materyał, używany do utworów artystycznych, nie jest dla ich wartości obojętnym, że np. dwa posągi Michała Anioła: jeden z gliny lub drzewa a drugi z marmuru lub bronzu—nie będą sobie estetycznie równe. Stosując tę zasadę w własnych pracach beletrystycznych, narażałem je na ciągłe wygwizdywanie za to, że moje wątki są nienaturalne, nierealne, abstrakcyjne itd. Zgięty pod ciężarem tych zarzutów idę sobie obraną drogą dalej.

Poezya całego świata jest wiosennym śpiewem słowików, wróbli, kosów, przed połączeniem się, naturalizm zaś jest opisem milczących zabaw samców z samiczkami po połączeniu się w pary—zabaw, dzięki którym gniazdka nie są puste. Miłość, szlachetna lub sprosna, jest niewątpliwie najważniejszą może nicią w tkance życia ludzkiego; ażeby ona wszakże była całą jego osnową, do której przyczepiają się tylko inne wężełki, ażeby skutkiem tego poezya powinna być tokowiskiem roznamiętnionych ptaków, walczących z sobą lwów lub osłów—na to zgodzić się nie mogę. Zwłaszcza z rozwojem cywilizacyi potężnieją inne czynniki, które nabierają wielkiej

siły i wielkiego uroku. Tymczasem poeci (zaliczam do nich także powieściopisarzów i dramaturgów), ludzie po większej części bardzo mało ukształceni, wyszywają ciągle swoje pomysły na kanwie doboru płciowego, który nie wymaga uciążliwych studyów a łechcze zwyrodniałą „inteligencyę.“ Niektórzy z nich—jak np. Dumas syn, człowiek z kogucim mózgiem—nie widzą nic po za tym doborem.

Wielokrotnie zabierałem głos w sprawie obnażonego „naturalizmu“ i protestowałem przeciwko lubieżności poetycznej a wiecie jaki osiągnąłem skutek? Taki, że mnie *Słowo* umieściło na liście apostołów naturalizmu i malarzów rozpusty. Święte małpy z Benares, czemuż wyprawione przez braminów nie przybyłyście do Warszawy, jakże byście ślicznie pisały o naturalizmie i pozytywistach! Wasza znajomość rzeczy i ludzi tutejszych, wasza rzetelność literacka, wasze zdolności krytyczne wystarczyłyby do odegrania tej roli. Bo jeżeli literat warszawski może puszczać w świat takie brednie, to jakiejże swobody używałaby małpa indyjska, mająca prawo zasłonić się niedawnym śród nas pobytem! Zaiste, redakcya *Słowa* powinnaby posyłać darmo swój dziennik „kolonii bogów,“ a może w zamian otrzymywałaby od niej artykuły o pozytywistach.

Byłoby to zaś fatalnem nieporozumieniem, gdyby czworęczni literaci wstrzymywali się od udziału w naszej prasie z powodu nieznajomości nadwiślańskiego języka, (czysty polski bowiem jest używany zaledwie przez szczupłą garstkę marudziarzów). Tak pisać, jak większość naszych „publicystów.“ w krótkim czasie nauczyłaby się każda małpa z Benares. Kwiatki z tej babylońskiej gwary okazywałem już niejednokrotnie: *Gazeta warszawska* zebrała maleńki ich bukiecik na niwie galicyjskiej. Uposażenie duchowieństwa nazywa się tam *kongruą*, urządzenie—*adaptacyą*, poganiacz bydła—*hajdajem*, oczyszczenie—*sanacyą*, stały bilet jazdy na kolejach—*permanentką*, sprawdzenie budowy drogi—*kollaudacyą*, marka (moneta niemiecka) i belka są rodzaju męzkiego (markbelek); „nie robić *pakości*“ —jest wyrażeniem dziennikarskiem dobrego stylu. I wszystko to wypowiada się w przerwach między jedną a drugą skargą na męczeństwo polskiego języka, albo nawet w niej samej. Małpy z Benares, co wam jeszcze stoi na przeszkodzie w przybyciu do nas; wszakże możecie nawet używać mowy, jaka wam się podoba! Nie robicie „pakości.“

Gdybym się modlił, modliłbym się tak: Panie Boże, dziękuję ci, żeś nam stworzył Matejkę, ale nie dziękuję ci za to, żeś mu dał p. Gorzkowskiego. Mąż ten bowiem, który byłby wybornym kapłanem świątyni w Benaresie, jest sekretarzem krakowskiego mistrza, objaśniaczem jego obrazów i doradcą politycznym. Wiadomo, jakie to są objaśnienia, pamiętamy następstwa przemowy Matejki w Akademii malarskiej przeciw artystom — żydom, teraz mamy znowu jego list polityczny do jednego z dzienników petersburskich. Autorem, czy współautorem tego pisma był znowu Mefisto Matejki — p. Gorzkowski. Gazety niemieckie i rosyjskie utrzymują nawet, że złapany Faust, na którego spadł grad wyrzutów, sam uznał za stosowne ustąpić z posady dyrektora Akademii malarskiej. Jeśli tak jest, to doprawy należy zapytać: co p. Gorzkowski wyrabia? Największego z żyjących geniuszów naszych, który zdala od wszelkich jarmarków mógłby tworzyć wiekopomne dzieła, wikła w procesy i awantury polityczne, a wreszcie skompromitowanego wydziera szkole. Tych figlów za dużo. Ale cóż na nie poradzić? Wysłać p. Gorzkowskiego do Benares? Ani on nie pojedzie, ani tam go nie przyjmą. Rzecz szczególna, są w Krakowie ludzie, którzy mogą, gdy chcą, nakłonić Matejkę do umieszczenia św. Stanisława nad bitwą grunwaldzką, a niema ludzi, którzy by go zabezpieczyli przeciwko pokuszeniom p. Gorzkowskiego. Zwłaszcza stańczycy, na których łonie mistrz spoczywa, w polityce kuci na wszystkie nogi, konsekwentni i przestrzegający w swojej drużynie karności — powinniby go ustrzedz od błędów na tem polu. Czyżby p. Gorzkowski miał być podobnym do jednej z owych starych, brzydkich i złych niewiast, które cały świat odstraszają a do których młodzi, piękni i dobrzy mężowie mają jakąś niewytłomaczoną słabość? Chyba...

Są zagadki. Czytelnicy przypominają sobie owego handlarza niemca, który wypędzał ze swego sklepu nieobiecujących gości, chrząc ich „polskimi psami.“ *Kuryer warsz.* nazwał to „arogancyą,“ urażeni nią przytulili uszy i odeszli, mnie się zdawało, że w tym wypadku „polskie psy“ okazały zbyt wielką bojaźliwość i pokorę. Teraz widzę, że to była roztropność. Pewien zwierzchnik fabryczny — jak donosi *Kuryer codz.*—uczęstował w podobny sposób robotnika, za co ten wypłacił mu się natychmiast gotowizną, z której żyje. Znieważony podał skargę do sądu— „polski pies“ został skazany na areszt. Ta więc postać odpowiedzi na obelgę jest niepraktyczną. Jaką wybrać inną, któraby była zarazem skuteczną i nie pociągała za sobą złych następstw? Nad tem biedne „psy polskie“ teraz pomyśleć muszą.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Pomyślne wieści dla ziemian.—Nie damy się żydom.— „Produkcya“ trupów. — Solidarność żydowska. — Perły w śmietniku. — Poszukiwanie kwasu salicylowego. — Towarzystwo kredytowe miejskie w Lublinie.

Korespondencye z Ameryki zwiastują ziemianom pomyślną nowinę: według dokładnych obliczeń, zbiory w Stanach Zjednoczonych będą o jedną trzecią mniejsze w porównaniu z zeszłorocznemi, a więc i konkurencya mniej groźną. Nieurodzaj, zresztą, powszechnym jest w tych miejscowościach, które wywożą produkty rolne i tylko w Indyach zbiór zapowiada się nieźle. Słowem, wszystko układa się bardzo dobrze, idzie tylko o to, czy my sami będziemy mieli pszenicę na sprzedaż. W Królestwie, jakkolwiek nie ma wielkiego urodzaju, można oczekiwać względnie niezłych zbiorów, natomiast w kraju zachodnim wskutek suszy jarzyny zupełnie prawie przepadły, a oziminy nie obiecują dobrego omłotu. W rezultacie wypada więc, że będą dobre ceny, ale nie będzie czego sprzedawać. Sprawdzą się tylko słowa Pisma św., że tym, którzy mają dosyć, będzie jeszcze dodano, ci bowiem, co mogli nie sprzedać zboża, zyskają teraz ładny procent.

Wysokie ceny straszą zwykle tych, którzy chleb kupują, ale u nas tak mądrze urządzono, że czy zboże tanio, czy drogie— chleb drogi zawsze. Dzięki polityce pp. piekarzy panuje u nas ład społeczny i zgoda, interesy biedaków przynajmniej w tym punkcie nie stoją w sprzeczności z interesem posiadaczy.

Zagrożeni bankructwem obywatele ratują się jak mogą. Redakcya *Inżynieryi i budownictwa* radzi im zwrócić baczniejszą uwagę na przemysł wiejski i podaje bardzo zbawienne rady. Idzie tu już nie o inżynierów i techników, których mamy dosyć, ale o przygotowanie zdolnych gorzelników, młynarzy, piwowarów, ogrodników itd. Do pracy tego rodzaju autor zachęca synów obywatelskich, którzy „zwyczajem ojców“ po za granice czwartej klasy wyjść nie mogą. W tej właśnie kategoryi zajęć brak uzdolnionych krajowców, bez nich przemysł wiejski rozwinąć się nie może, a w nim tylko jednym tkwi zbawienie dla rolnictwa.

Bardzo słusznie; dodam tylko, że inne pisma oprócz przemysłu radzą jeszcze ziemianom zajmować się handlem. Otóż czy szlachta okaże zdolności do przemysłu—nie wiem, ale w handlu niedługo zakasuje z pewnością współzawodników. W sferze tej nowicyusze przewyższają wkrótce swych mistrzów. Oto np. z okolic Grodziska donoszą, że tam pp. obywatele każą zwykle dorzynać chore bydlę i sprzedają z niego mięso, niedawno zaś pewna obywatelka, „polska matrona,“ pozwoliła sprzedawać mięso z krowy, która zdechła na karbunkuł. Biedacy kupowali, bo było tanie, zarazili się jednak i umarli. Wobec tego faktu można chyba bez przesady powiedzieć: „nie damy się żydom, potrafimy jeszcze współzawodniczyć z nimi na ziemi ojców naszych.“

Niedawno wspominaliśmy o pewnym obywatelu, w którego majątku znajduje się młocarnia, dostarczająca regularnie raz na rok trupa lub kalekę. Ograniczone rozmiary warsztatu rolniczego nie pozwalają rozszerzyć zakresu tej oryginalnej „produkcyi.“ Fabryka natomiast, której zadaniem cywilizacyjnem jest „gromadzenie pracy“ może z łatwością dostarczyć obfitej hekatomby.

W Białymstoku istnieje fabryka tytuniowa niejakiego Zylberblatta, w której w d. 24 lipca wszczął się pożar. W gmachu znajdowało się wtedy około 260 robotnic, zamkniętych na klucz, bo tak każą podobno przepisy i interes właściciela. Nie ma jednak i nie może być przepisów, które by nie pozwalały otworzyć drzwi w razie pożaru lub innego wypadku, ale i wtedy istnieje interes p. Zylberblatta żeby w popłochu robotnice nie wyniosły kilku paczek tytoniu. Oszczędność nawet w drobiazgach jest cnotą przemysłowca, nic więc dziwnego, że zarząd fabryki nie otworzył drzwi, dopóki nie przedsięwzięto odpowiednich środków kontroli. Łatwo sobie przedstawić, co się działo z zamkniętemi; kiedy drzwi wreszcie odemknięto — znaleziono kilka dziewcząt tarzających się w konwulsyach po podłodze. Cztery z nich mają zgniecione piersi i połamane żebra, o ocaleniu ich nie ma nawet mowy, inne wyszły nieco szczęśliwiej. Tak już przyzwyczailiśmy się do ofiar koniecznych w imię rozwoju ekonomicznego, że tylko wyjątkowe przekroczenie normy może wywołać oburzenie, które jednak i wtedy kończy się najczęściej westchnieniem o reformę prawodawstwa fabrycznego. Po co tu jednak specyalne przepisy, kiedy fakt nikczemnej zbrodni nie ulega wątpliwości. Dlaczego zwykły zabójca podlega karze ciężkich robót, kiedy inżenier, który świadomie zostawia zgniłe podkłady, lub fabrykant, który umyślnie nie otwiera drzwi i przez to naraża na śmierć dziesiątki osób, pozostają bezkarni albo w najgorszym razie wykręcają się grzywnami lub pokutą kościelną?

Ponieważ właściciel fabryki w Białymstoku jest żydem, przeczuwam już jakie gromy spadną na jego współwyznawców. Wiadomo, że gdziekolwiek kogo biją, zawsze żyd drapie się... w plecy, podrapią się więc tem bardziej izraelici tutejsi, z powodu, że p. Zylberblat jest wyznania mojżeszowego. Trzeba jednak wyznać, że sami żydzi najbardziej przyczyniają się do takiego hurtowego potępiania ich za winy jednostek lub grup, zalecając i trąbiąc o wzajemnej solidarności. Niedawno właśnie *Izraelita* pokłócił się z *Woschodem* za to, że korespondent łódzki ostatniego pisma doniósł, iż miejscowi izraelici odmówili składek na pogorzelców grodzieńskich, mówiąc „co nas obchodzą żydzi rosyjscy.“

Ciekawa rzecz, że *Izraelita* oburza się nie na fałszywe w danym wypadku zastosowanie tej zasady, ale na samą zasadę, która jest najzupełniej słuszną. Co mnie obchodzą np katolicy hiszpańscy? tyle co i reszta rodzaju ludzkiego, tj. w rzadkich wypadkach bardzo wiele, w innych mało, a w innych jeszcze nic zgoła, a w każdym razie nie więcej, jak protestanci szwedzcy, albo mahometanie perscy, i to nie tylko mnie, ale i każdego najgorliwszego katolika. Kto zaś sądzi inaczej, ten nie powinien oburzać się na wzmianki o wszechświatowym kahale, powszechnej zmowie żydów itd., któremi wojują antisemici wszelkiego rodzaju a pomiędzy nimi i nasz „hreczkosiej“ (nowy tytuł „szefa,“ chociaż sieje on tylko pietruszkę a cebulę zbiera).

Kiedym już włożył rękawiczki, żeby dotknąć *Roli*, wezmę z tego śmietnika perłę, która się w nim wala. Chętnie więc podnoszę wystąpienie p. Kamiennego, pełne szlachetnego oburzenia na nikczemników, walczących za pomocą insynuacyi i donosicielstwa. W naszych zwłaszcza stosunkach jest to podwójna nikczemność. Szkoda tylko, że p. Kamienny gromi jedynie żydów, w tym samym numerze *Roli*, w tym samym nawet feljotonie wskazać mu mogę chrześcianina (co prawda, świeżego podobno), który z powodu *Prawdy* kłamliwie opowiada o propagandzie „idej rozkładowych“ etc., a poprzednio mówił nieraz wyraźniej jeszcze. Czem się różni moralność tego pana od etyki żydków z Końskowoli—ja powiedzieć nie umiem, bo w obu wypadkach o geszeft przecie chodzi.

Gazeta lubelska opowiada o oburzającym wyzysku lichwiarzy, którzy oplątawszy małoletniego, wymusili odeń oprócz rewersu z doliczeniem olbrzymich procentów, jeszcze weksle *in blanco*, w które wpisali potem sumę 3,000 rs. dali zaś tylko 183. Fakty podobne zdarzają się u nas często i dziwić nikogo nie powinny. Lichwiarze lubelscy okazali się jeszcze względnymi i odstąpili od swych pretensyi za małą stosunkowo sumę. Ciekawem jest tylko, że machinacye ich wykrył współwyznawca, który nie chciał skorzystać z „dobrego interesu,“ jaki mu proponowano i zawiadomił o wszystkiem stronę interesowaną oraz władzę.

Najlepszym chyba dowodem zniemczenia Łodzi jest sprawa, która porusza nietylko mieszkańców tego grodu, ale także i prasę miejscową, i od kilku tygodni służy za przedmiot do rozmów i artykułów. Chodzi tu ni mniej więcej tylko o to, czy w piwie z browaru Anstadta znajduje się kwas salicylowy. Nasi znani „profesorowie“ chemii pokpili nieco sprawę, jedni bowiem którzy lubią... piwo p. Junga znaleźli ów nieszczęsny kwas, inni znowu, którzy lubią piwo p. Anstadta, nie znaleźli go wcale. Dla rozstrzygnięcia wątpliwości postanowiono wysłać na miejsce do Łodzi specyalną komisyę, ale ta przez miesiąc przynajmniej z dnia na dzień odkładała swój wyjazd. Rozumie się, że gdyby nawet kwas salicylowy znajdował się w piwie Anstadta, przez ten czas mógłby „ulotnić się“ swobodnie. P. Milicer, który pierwszy odkrył jego obecność, przewiduje teraz kompromitacyę swej analizy i oświadcza, „że ma zasadę mniemać, iż *ze względów technicznych* w piwie, które znajduje się w Łodzi, kwasu salicylowego nie ma.“ Naturalnie, każdy miałby prawo nazwać p. Anstadta safandułą, gdyby teraz jeszcze ów zagadkowy kwas pozostał w jego piwie. W oczekiwaniu rezultatu badań komisyi, Łódź podzieliła się na dwa wielkie obozy, z wyjątkiem grupy eklektyków, która oddaje słuszność wyrobom wszystkich browarów miejscowych i warszawskich.

Mieszkańcy Lublina już mają Towarzystwo kredytowe miejskie; telegram zamieszczony na czele *Gazety lubelskiej* donosi, że ustawa została zatwierdzona przez władzę.

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 30 lipca.

Najważniejszym wypadkiem ubiegłego tygodnia jest głoszona oddawna, ale teraz podobno już ostatecznie stwierdzona śmierć Mahdiego. Powiadamy podobno, bo na wiarogodności wiadomości egipskich nie można polegać zupełnie, nawet wtedy—kiedy mają urzędowy charakter. Jakkolwiek powstańcy sudańscy pomimo śmierci wodza posuwają się dalej i niedawno właśnie zaatakowali Kassalę, zgon proroka bardzo byłby na rękę anglikom, zwłaszcza teraz, kiedy rząd brytański zamyśla energicznie wystąpić w Egipcie. Chodzą wieści, że w jesieni przedsięwziętą będzie nowa wyprawa. Bardziej jeszcze sensacyjną jest pogłoska o abdykacyi Tewfika na żądanie Anglii i objęciu napowrót tronu przez Izmaela paszę.

Energiczna działalność w Egipcie będzie zarazem sztuczką wyborczą, która zamaskuje przed opinią publiczną porażkę w sprawie afgańskiej. Układy o ów nieszczęsny Zulfikar trwają dalej, tymczasem wojska rosyjskie koncentrują się, anglicy zaś wszystkiemi siłami pomagają afganom do uzbrojenia Heratu. Obie strony życzą sobie podobno przedłużenia rokowań do jesieni, tj. do czasu, kiedy wybory w Anglii odbiorą władzę z rąk teraźniejszego gabinetu albo też utrwalą jego położenie.

Rozumie się, że Salisbury pragnie utrzymać się przy władzy i przyznać trzeba, iż stara się o to bardzo umiejętnie.

Na pierwszym planie stoi pozyskanie głosów irlandzkich. W tym celu wniesiony został do Izby gmin projekt ustawy, mającej ułatwić dzierżawcom irlandzkim nabywanie ziemi. Rząd udzielać będzie kupującym pożyczkę do wysokości $^3/_4$ wartości gruntu, umarzaną w ciągu 49 lat, na 4§. W razie jeśli dzierżawca nie będzie mógł zapłacić nawet czwartej części, rząd złoży za niego całą sumę, byleby tylko nabywca przedstawił kaucyę w wysokości $^1/_5$ ceny kupna. Dla przeprowadzenia tej operacyi, rażącej nieco anglików, nieprzyzwyczajonych do mieszania się państwa w sprawy ekonomiczne, ministeryum żąda od parlamentu kredytu w kwocie 5 milionów f. szt.

Generał Courcy zawiadomił rząd francuski, iż rozruchy w Anamie uważać można za stłumione. Mianował on nowego regenta i ministrów z pomiędzy mandarynów przychylnych Francyi. Jednakże dawny regent a obecnie wódz powstańców jakkolwiek opuszczony przez wielu stronników, cofnął się w góry i zabrał z sobą małoletniego cesarza. Nie może więc być mowy nawet o zmniejszeniu korpusu ekspedyjnego.

Cesarz Wilhelm bawi w Gasteinie, sprawozdawcy dziennikarscy, którzy go widzieli, powiadają, że jest bardzo osłabiony i źle wygląda. Gazety półurzędowe wspominają znowu o zjeździe trzech monarchów i wskazują nawet miejsce przyszłego spotkania: zamek Reichstadt, który w tym celu odnawiają i przyozdabiają.

Postanowili również zjechać się w Dreznie członkowie towarzystw gimnastycznych niemieckich. Patryotyzm germański wezbrał szczególniej przy piwie; po owacyach na cześć sławnego Knotza, z podszczenia gości austryackich zebrani rzucili się na wieniec przysłany z Pesztu i ozdobiony barwami węgierskiemi, porwali go na kawałki a potem te drobne szczątki podeptali nogami.

Bezmyślna ta manifestacya oburzyła krewkich madziarów i przyczyniła się niewątpliwie do nadania bardziej uroczystego i serdecznego charakteru przyjęciu gości czeskich w Peszcie Jeszcze w r. z. z powodu wystąpienia Riegera wyraziliśmy nasze zdanie o nietrwałości tej przyjaźni czesko-węgierskiej, tu zaznaczymy tylko, że komedya odegrana była bardzo przyzwoicie, z zachowaniem pozorów czułości i braterskiego przywiązania.

Namiestnik Galicyi zabronił nauczycielom szkół ludowych brać udział w mającym się odbyć w Welehradzie 11, 12 i 13 sierpnia zjeździe nauczycieli z Moraw, Szlązka i Poznańskiego, ponieważ zebranie to ma na celu sprawy polityczne nie zaś religijne lub pedagogiczne. Na zakaz ten powinny zwrócić uwagę te dzienniki rosyjskie, które wciąż krzyczą o „rządach polskich“ w Galicyi.

Namiestnikiem Alzacyi i Lotaryngii mianowany został hrabia Hohenlohe, niegdyś minister bawarski a ostatnio poseł niemiecki w Paryżu, który, o ile z dotychczasowej jego działalności sądzić można, wstąpi w ślady Manteuffla, tj. prowadzić będzie politykę pojednawczą.

We Frankfurcie nad Menem podczas pogrzebu socyalisty Hillera powstały zamieszki, które stłumiono dopiero za pomocą siły zbrojnej, z tego powodu w mieście ma być ogłoszony stan oblężenia.

Z Konstantynopola donoszą, że sułtan Abdul-Hamid jest umierający, ale najbliższe otoczenie stara się ukryć stan jego zdrowia. W kołach urzędowych skłaniają się podobno do uznania za następcę sułtana Murada, obłąkanego niegdyś, ale dziś już wyleczonego.

Papież zapowiada, iż wyda niedługo encyklikę o liberalizmie, w której szczegółowo wyłoży w jakim stopniu zasady liberalne dadzą się pogodzić z katolicyzmem. Maluczko więc, a może ujrzemy dzisiejszych zachowawców przerobionych na liberałów czystej wody.

ULISSES GRANT.

Nie obok Waszyngtonów, Franklinów i Linkolnów zapisze historya imię byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Należał on do tego rodzaju ludzi, od których niedawno Ameryka była wolną, ale którzy po wsze czasy stanowili plagę rzeczypospolitych demokratycznych. Był to ambitny żołnierz, któremu zwycięzkie stronnictwo powierzyło honory władzy, aby pod jego opieką moralną i faktyczną swobodniej mogło otworzyć ujście swym samolubnym i poziomym instynktom. Generał Grant, tytularny wódz partyi republikańskiej, najwybitniejszy przedstawiciel jej odłamu, który przez lat dwadzieścia trzymał rządy państwa w swym ręku— niedługo przeżył klęskę swego stronnictwa i zmarł w dniu 22 lipca r. b.

Urodzony w 1822 r., miał dopiero lat 17, kiedy skończył szkołę. Uważany za niezdolnego do żadnego z zawodów, które zwykle obierają praktyczni amerykanie, młodzieniec wstąpił do służby wojskowej. Zajęcie to szanowane w państwach militarnych Europy, w Stanach Zjednoczonych należy do najmniej poszukiwanych. Grant, który w każdym innym zawodzie należał by do upośledzonych, tutaj szedł w górę i odznaczył się nawet w czasie wojny meksykańskiej. Po ukończeniu jej został rolnikiem, później zaś garbarzem, ale nie bardzo mu się wiodło. Dopiero wojna domowa dała mu możność wejścia na szerszą widownię. Ów nieuk, lichy rolnik

i gorszy jeszcze garbarz okazał niepośledniе zdolności wojskowe, po latach kilku został wodzem naczelnym a los przyjazny pozwolił mu szczęśliwie ukończyć wojnę. Zwycięzkie stronnictwo republikańskie wyniosło go na godność prezydenta, którą, wybierany po dwakroć, sprawował przez lat osiem. Za rządów jego rozwielmożniły się straszne nadużycia w administracyi, bezczelne kradzieże skarbu i wszelkiego rodzaju bezprawia kliki kapitalistów i politykanów (ludzi żyjących z polityki), która go popierała. Był czas, że tryumfujące mieszczaństwo chciało go wybrać po raz trzeci, nie cofając się nawet przed zgwałceniem konstytucyi i obawą cezaryzmu. Ale ustrój polityczny Stanów Zjednoczonych szczęśliwie wytrzymał tę próbę i tem dowiódł właśnie wyższości zasad, które stanowią jego podstawę. Dyktatura okazała się niemożliwą, trzeciego wyboru Granta nie śmiano nawet proponować. Dwaj następcy jego, którzy nie posiadali ani zasług, ani talentów poprzednika, powoli prowadzili do upadku panujące stronnictwo, przeciw któremu na ostatnich wyborach wystąpili już nietylko przeciwnicy polityczni, ale wszyscy ludzie uczciwi. Dla Granta klęska była podwójną, jednocześnie bowiem zrujnowała go także majątkowo. W kłopotach i opuszczeniu umarł po ciężkiej chorobie chybiony kandydat na „Cezara“ Ameryki, dzielny żołnierz, który wszakże laury zdobyte w walce za wielką sprawę zbrukał w błocie intryg politycznych.

CUDZE GŁOSY.

Znowu mądry po szkodzie. Kto by się spodziewał, że wystawa warszawska będzie ową żółcią przywracającą wzrok Tobiaszom poznańskim, oślepionym od ciągłego patrzenia w „prawa traktatami zagwarantowane.“ Cud ten stał się w redakcyi *Dziennika poznańskiego*, najwarowniejszego posterunku polityki szermierki frazesami o umowach i obietnicach i obrony „praw historycznych.“ Objaw ten należy zaznaczyć, chociaż niewiadomo, czy zbawienne skutki cudu obejmą i szersze warstwy społeczeństwa. Oto co powiada gazeta poznańska:

„Niechaj kto mówi, co chce, pozostanie prawdą, że głównym nieprzyjacielem naszym pod panowaniem pruskiem jest zagrażający społeczeństwu naszemu pauperyzm. Prześladowcze systemy są zmienne; wybryki ich spadają prędzej czy później na cześć i głowy swych sprawców i inicyatorów.“

Po takim wstępie autor wykazuje złe strony zwracania wszystkich sił inteligentnych do gospodarstwa rolnego lub też do t. z. zawodów naukowych, „w których karyera jest zależną od woli rządu“ i zachęca do przemysłu i handlu.

„Cóż nam w owem poszukiwaniu środków ocalenia wobec zagrażającego pauperyzmu przedstawia pogodniejsze widoki, co nam otwiera nowe widnokręgi? Z jednej strony daje nam na to odpowiedź fakt wystawy warszawskiej, z drugiej choćby doświadczenia zyskane już tutaj na miejscu. Przemysł i handel oto dwie gałęzie czynności i egzystencyi ludzkiej, dotknięte u nas w Poznańskiem właśnie najmniej.“

„Z wyjątkiem kilkudziesięciu zakładów tak zwanego rolniczego przemysłu, gorzelni, cukrowni, młynów parowych, browarów, z wyjątkiem wegetującej jednej garbarni i kilku fabryk machin rolniczych, gdzież i jakie, pytamy, istnieją w Poznańskiem przedsięwzięcia i zakłady przemysłowe? Na pociechę własną możemy sobie sumiennie powiedzieć, że Niemcy tutejsi nie lepsi od polaków tutejszych. W tym jednakże właśnie fakcie, w tej okoliczności mieści się istny wyzyw do naszego społeczeństwa, aby co prędzej, póki czas jeszcze, w imię dobrobytu indywidualnego, za którym idzie zbiorowy i narodowy, pospieszyło wypełnić tę szczerbę, zająć wakujące w życiu i potrzebach naszego miejscowego społeczeństwa stanowiska polskiemi osobistościami, polską zabiegłością i pracą, polskimi kapitałami.“

„Niechajby ta prawda wniknęła po trosze w świadomość naszego społeczeństwa, niechajby rodzice kierowali się nią w wychowaniu dzieci“—życzeniem tem kończy swe uwagi publicysta poznański, nadmieniając jeszcze, że dotychczasowe usiłowania w tym kierunku, opłaciły się inicyatorom sowicie. Jest to więc już argument przemawiający, że tak powiem, *ad homines*, do synów szlachty i zamożniejszych rodziców, którzy posiadają odpowiednie kapitały, ale zamiast jąć się pracy pożytecznej—polują na „bogaty a najczęściej zawodny ożenek,“ albo grają rolę „Rittergutsbesitzera na wsi, stękającej pod ciężarem długu.“

PRASA ROSYJSKA.

Peterburskija Wiedomosti zamieściły ciekawy bardzo artykuł p. t. *Wśród polaków*, z którego przytaczamy niżej kilka ustępów.

Jest to rozmowa rosyanina z polakiem. Autor wyznaje iż trudno mu było porozumieć się z polakami, ponieważ „ludzie ci są bardzo ogledni w zawieraniu znajomości,“ ale w końcu, dzięki przypadkowo spotkanemu koledze, udało się nawiązać stosunki bliższe. Powód do rozmowy dał numer *Kladderadatscha* wyobrażający z jednej strony Bismarka, golącego się brzytwą, na której widać napis „kwestya polska,“ a z drugiej północnego niedźwiedzia, który, chcąc go naśladować, taką samą brzytwą kaleczy się, że aż krew tryska. A oto sprawozdanie z rozmowy i która zaczęła się tak:

— „Czy pan był w Poznaniu—zapytał mnie obywatel.

— Nie byłem; ale wiem, że to jest prowincya bardzo zniemczona.

— Mogę pana zapewnić, że jesteś w błędzie—rzekł obywatel. Podczas ostatnich wyborów do reichstagu, z liczby piętnastu przedstawicieli księstwa, wybrano polaków 12-tu a niemców trzech, to jest, że przedstawiciele tej prowincyi polscy, mają się do niemieckich jak $^4/_5$ do $^1/_5$; jeszcze korzystniej przedstawia się dla polaków stosunek podanych głosów wyborczych.“

Dalej polak stara się przekonać autora, że stan rzeczy w Poznańskiem nie jest znowu tak rozpaczliwy, jak z pozoru wygląda. Ludność polska wzrasta w liczbę i siłę, niemcy to widzą, więc chwytają się tak gwałtownych środków jak ostatnie rozporządzenie o wydaleniu 30,000 ludzi.

— „A propos, prawdopodobnie wrażenie wywołane przez ten środek było bardzo ciężkie i przekonało ostatecznie, czego polacy mogą spodziewać się od państwa, które było inicyatorem rozbiorów Polski?

— Hm, zapewne; ale kto może zaręczyć, że w przyszłości nie zajdzie kombinacya, która wywoła zwrot zupełny. W Berlinie nieraz już o tem myślano, i próbowano nawet zawiązać stosunki z polakami. Ale poznańczycy zbyt daleko posuwają nienawiść ku wszystkiemu co pruskie, zacząwszy od dworu i kanclerza, a skończywszy na landracie. My tutaj przyjmujemy i godności dworskie i utrzymujemy stosunki z tutejszymi dygnitarzami rosyjskimi, a na prowincyi i z przedstawicielami administracyi, i czynimy to nie z przymusu lub obłudy, ale z poczucia obowiązku i w nadziei, że przy osobistych stosunkach będzie nareszcie można wyjaśnić i obronić legalne interesa kraju. W Polsce pruskiej być u dworu jest zdradą stanu; tak samo zdradą jest przyjąć zaproszenie Bismarka lub ministra na śniadanie czy obiad; zagrać kilka robrów wista z landratem—równa się odstępstwu. A mimo to, powiem panu otwarcie, nasze położenie jest cięższe.

— Przepraszam, ale nie widzę w czem, dlaczego — odrzekłem.

— Interlokutor mój cierpko się uśmiechnął i zamilkł.

— Doprawdy, nie widzę — powtórzyłem. Powiedz pan, nie żenując się; wszakże pomówimy o tem „sine ira et studio,“ jeżeli trudno mi będzie zgodzić się z panem...

— A więc dobrze. Zacznę od tego pewnika zdaje się niewątpliwego, że w zasadzie polityka dzisiejsza Prus i Rosyi, przyjęta względem nas, jest identyczna; i tu i tam zasadza się ona na przymusowem przy pomocy środków administracyjno-policyjnych asymilowaniu polaków. Wszak tak?

— No, niezupełnie. Wszakże wiadoma jest panu odpowiedź pruskiego ministra spraw wewnętrznych, udzielona w r. 1872 polskim deputowanym w landstagu, kiedy ci protestowali przeciw wprowadzeniu języka niemieckiego do szkoły, sądu i administracyi miejscowej. „Ihr sollt deutsch werden,“ musicie stać się niemcami — rzekł hr. Eulenburg. Taka jest zasada polityki prusko-polskiej, wygłoszona z fotelu ministeryalnego i wymotywowana później całym szeregiem nieubłaganych a konsekwentnych i systematycznych środków administracyjnych. Co do Prus zatem masz pan słuszność; tam germanizacya polaków stanowi cel urzędownie ogłoszony.

— Wszakże to tak samo jak u nas; i rusyfikacya niemniej urzędownie została usankcyonowana.

— Przepraszam, bynajmniej. Ani jeden ukaz, ani jeden przepis prawa nie mówi o rusyfikacyi Królestwa. Wiadomo, że Milutyn, twórca dzisiejszego systemu przyjętego względem Królestwa, sam w referatach swoich urzędowych zapewniał, że rusyfikacya ludności Królestwa jest wprost niemożliwa i że dążenie do tego celu mogłoby tylko szkodzić ogólnym interesom państwa, nie przynosząc żadnych realnych rezultatów. Milutyn był za uczeniem polaków języka rosyjskiego i za zjednoczeniem Królestwa z Cesarstwem, przy pomocy jednakowych instytucyj. Ale on nie mówił polakom: „musicie stać się rosyanami.“ I ani jeden minister rosyjski, ani namiestnik, ani którykolwiek z trzech ostatnich generał-gubernatorów, o ile mi wiadomo, nic podobnego nie wymagali.

— Tak, ale wszyscy do tego dążyli. A dowody na to w bezwarunkowem wycieśnieniu języka polskiego ze szkoły, nawet elementarnej, chłopskiej, wbrew najpierwszej zasadzie pedagogicznej, że początkowe wychowanie może być tylko dobrem wtedy, gdy odbywa się w języku ojczystym; dalej w wyrugowaniu tegoż języka z sądu, domagając się i rozpraw i dokumentów rosyjskich zaraz nazajutrz po wprowadzeniu reformy od ludzi, którym nie dano nawet czasu nauczyć się po rosyjsku.

— Wszakże reforma, jak o tem oficyalnie było powiedziane, wprowadzona została w imię jednolitości państwowej, i dla zniewolenia ludności kraju do uczenia się języka państwowego.

— I dla tego to język polski został zupełnie wykreślony z urzędowego rozkładu nauk i zaliczony do kategoryi przedmiotów dowolnych, zeszedł do znaczenia lekcyi tańców. Chcecie nas uczyć języka rosyjskiego? Nie mamy nic przeciw temu, owszem, oddawna rozumiemy, że nauka tego języka jest nam niezbędna. Czy pan wie o tem, że kiedy Kraków był jeszcze wolnem miastem, to w uniwersytecie Jagielońskim i w krakowskiej szkole politechnicznej wykładany był język rosyjski. Czy pan słyszałeś o tem?

— Wyznaję, że nie słyszałem. I cieszę się z tego faktu świadczącego o trzeźwości...

— Otóż, powtarzam, oddawna pojmujemy, że nauka języka rosyjskiego jest nam potrzebna dla wielu względów. Więc niechże go uczą w naszych szkołach, niech go będzie sześć, siedm, ośm godzin na tydzień, niech go wykładają czystej krwi wielkorosyanie, niech uczą dzieci nasze

rosyjskiej historyi, geografii i literatury — niechaj wykładając matematykę, fizykę lub chemię, nauczyciel postara się zapoznać uczniów z terminologią rosyjską; to wszystko ma związek z nauką języka państwowego. Ale wykład wszystkich przedmiotów po rosyjsku we wszystkich szkołach od elementarnych aż do uniwersytetu; powierzanie wychowania młodzieży wyłącznie prawie nauczycielom sprowadzanym z Rosyi, gdy nasi pedagogowie nie mogą znaleźć pola działania, lekceważenie mowy ojczystej tuziemczej przez administracyę szkolną, prześladowanie jej nawet, czyż to nie to samo, czyż to nie dosłowna kopia systemu pruskiego, czyż to nie ilustracya w czynie słów „Ihr sollt deutsch werden?

— Zapomina pan o dwóch rzeczach—odrzekłem — najpierw, że nie należy mieszać pewnych rusyfikacyjnych luźnych zapędów z surowym systematem germanizacyi, a powtóre, należy pamiętać, że Rosya widzi w przeszłości dwie krwawe polskie rewolucye i stoi na pozycyach wziętych przebojem. W Prusach całkiem co innego — tam polacy nigdy na seryo nie grozili całości państwa i nie kusili się o prowincyę gdzie szlachta jest polska, ale ludność niepolska.“

Taż sama gazeta w parę dni później w artykule p. t. *Polacy nieprzejednani* wypowiada zdanie, niezawsze zgodne z uwagami swego korespondenta.

„Niedawno jeszcze pewna gazeta krakowska uroczyście oświadczyła, z powodu projektu wodza staro-czechów, Riegera, o wydawaniu gazety pansławistycznej, że żaden dobry polak nigdy nie odważy się przyjąć udziału w organie, w którym, na równi z innymi „braćmi“ znajdą się pogańscy „moskale.“ Z poglądem tym *Nowej Reformy* zgodziła się z nielicznymi wyjątkami cała prasa polska „zakordonowa.“

Bardziej wszakże charakterystycznym jest wypadek z Matejką, o którym obecnie mówi cała prasa austryacka. Chodzi o to, że pewna gazeta petersburska, nie wiadomo, z jakiego powodu, umieściła wzmiankę o chęci pojednania się rosyan z polakami. Nad wszelkie spodziewanie, wzmianka doszła znanego artysty, Jana Matejki, który, z właściwą sobie żywością i szczerością, przesłał wyrazy swojej sympatyi dla podniesionej idei. Łatwo pojąć, jaki ogólny okrzyk oburzenia wywołało w samem centrum przyszłego królestwa takie zuchwalstwo i niespodziewane sprzeniewierzenie się planom zawziętych patryotów. Matejce, który poprzednio już dał się poznać, jako niezbyt gorący hołdownik porządku, panującego w Galicyi—rozkazano, aby uroczyście odwołał list, który rzekomo podsunął mu bez jego wiedzy były sekretarz, do podpisu, ale znakomity malarz stanowczo odmówił, i sprawa na tem się skończyła, że on „dobrowolnie“ zrzekł się tytułu honorowego prezesa akademii sztuk pięknych w Krakowie.

Drobny to fakt, ale jasno dowodzi, jaki panuje obecnie nastrój w społeczeństwie polskiem względem Rosyi.

Upojeni potęgą polityczną i rolą swą w Austryi, jaśnie wielmożni stracili do szczętu głowę i dla polityki zapomnieli o najlepszych ideałach swoich. Matejkę, do niedawna jeszcze półbożka, Matejkę, który pędzlem opiewał chwałę jaśnie wielmożnych,—nawet jego zamienili na różnych Ziemiałkowskich, Grocholskich—za to tylko, że próbował trzeźwo spojrzeć na kwestyę palącą.

Przy takich warunkach o pojednaniu nie może być mowy. Zdarzenia lat ostatnich nietylko nie otrzeźwiły, ale przeciwnie, spotęgowały i rozpaliły namiętności nierozumne niepojednanych wrogów obecnego porządku międzynarodowego. Nie ma mowy o pojednaniu wówczas, kiedy o Mickiewiczach, Szopenach, Słowackich, Matejkach, zapomniano, a ich miejsce zastępują szermierze, walczący za „ideę jagielońską.“

Bardzo to pięknie, należało jednak wybrać trafniejsze przykłady. Mickiewicz i Szopen byli właśnie „sperantes contra spem“ a Słowacki najlepiej sam określił swe stanowisko:

Na sztandarze, jak pies się położył
I oczy tylko zwraca, ale sam nie wraca.

Graždanin pomieszcza ciekawe uwagi o polityce stosowanej w kraju zachodnim.

„Ileż to od lat dwudziestu kilku wyszafowaliśmy zabiegów i patryotyzmu na rusyfikowanie naszego zachodniego i południowo-zachodniego pogranicza! Czegośmy nie gadali i czego nawet nie robili! Zabraliśmy się do poprawienia bytu chłopa; poprawiliśmy. Zabraliśmy się do pogorszenia bytu właściciela Polaka; pogorszyliśmy. Zabraliśmy się do dźwigania posiadaczy rosyjskich; podźwignęliśmy. Tymczasem obywateli polskich zastąpili żydzi; sprowadzony i osadzony obywatel rosyjski oddał swe grunta w dzierżawę żydowi itd.“

Najbardziej jednak przestrasza ks. Meszczerskiego wzrost kolonizacyi niemieckiej, do którego przyczyniła się powyżej określona polityka.

Moskowskija Wiedomosti w ten sposób zachęcają swych czytelników do ofiar na pogorzelców grodzieńskich.

„Przystoi pospieszyć z najuczynniejszą pomocą dotkniętemu klęską pogorzeli miastu, a to nietylko z pobudek dobroczynności, którą Moskwa zawsze się odznaczała, ale że jej, jako gromadzicielce ziemi rosyjskiej godzi się wystąpić w tej roli względem jednego z jej krawędziowych grodów, który niegdyś zaprzeczano narodowi rosyjskiemu. Nietylko siłą polityczną winny być spojone części składowe państwa, ale i dobrymi uczynkami, miłosierdziem i miłością. Wyrzutem sumienia, grzechem i hańbą nawet byłoby, gdyby Moskwa nie przybiegła najpierwsza na pomoc grodzieńskim pogorzelcom i (czego Boże broń) dała się wyprzedzić Warszawie. Obfita pomoc temu miastu jest konieczna, a najobfitsza płynąć powinna z Moskwy, która najwięcej ma środków po temu i najwięcej po temu obowiązków.“

KORESPONDENCYE „PRAWDY.“

Lipiec.

Pan Koreywo jest widocznie księgarzem bardzo poetycznym, bo oto w roku bieżącym wydaje już drugi tomik, raczej zeszycik poezyi. Niedawno wyszły *Piśni, szumki i dumki* z humorystycznymi komentarzami w rodzaju tych, że „did Łado—jest wykrzyknik bardzo starożytny, używany przez wszystkich prawie słowian“ (str. 98); teraz zaś przed kilku tygodniami, taż sama firma puściła zeszycik *Poezyj* J. B. Kutyłowskiego. Dla tych pierwiosnków młodzieńczej muzy niepożałował p. Koreywo ozdobnej sukienki — naturalnie nie za swoje pieniądze sprawionej, bo księgarz znowu na tyle poetycznym nie jest — ale druk i papier nie zastąpią treści. Byłbym w wielkim kłopocie, gdyby mnie kto poważnie zapytał, co to jest? Chybabym odpowiedział słowami samego autora: „wiersze różne,“ ale nie poezya. Widać tu dobre serce, głowę nienawykłą jeszcze do myślenia, wątłe rączyny wyciągane do życia, niespokojny oddech młodości, embryologiczny okres myśli, tęskniącej do „blasku ideałów,“ w błękitów stronę, gdzie słońce świeci (32), ale nie widać matki cierpienia—„poezyi.“ Są to drobne wrażenia przesiane przez grube sito, którym dorobiono rymowane ogony. Niech mi tu wolno będzie powiedzieć słowami starego Goethego: „Was im Menschen nicht ist, kommt auch nicht aus ihm,“ Trudno pisać poezye, nie będąc poetą; trudno, bo sentymentalne kwilenia zbrzydły nam i wolimy czterowierszowe poematy W. Hugo, nad którymi miliony głów pochylają się w zamyśleniu, bo w nich lśni jakiś odblask ludzkości, jak elegie, w których niema smutku; płomienie, z których żaden, ani świeci, ani grzeje.

Roboty poetyczne p. Kutyłowskiego robią wrażenie niedokończonych szkiców, malowanych nieraz przez wędrownych artystów; jest tam i niebo, i ziemia, i drzewa, i morze — ale brak myśli. Proszę na próbę przeczytać poezye *Dziecięce lata*, *Melodye jesienne*, ś. p. *Michałowi*, jest tam czysta młodzieńcza dusza, która czuć i kochać potrafi, która rozwiera skrzydła. Może kiedy p. Kutyłowski stanie przy prawdziwym drogowskazie (55) i „wyżyny myśli“ odnajdzie nie w jakichś świetlanych ideałach, ale ciężkich „ideałach obowiązku,“ a wtenczas z tych wyżyn niech nam coś lepszego pokaże. Dziś on sam jeszcze oprócz mgły i chaosu nic jeszcze nie widzi. Drobne te próby nie są bez przymiotów: spotka tam czytelnik prawie poprawny język i zarodki drobnych myśli; jest to już wiele. Nie można mówić komuś: idź tą lub inną drogą. Wszystko to, co człowiek czuje i myśli, jest najlepszym drogowskazem dla niego. Nie piszę krytyki, piszę raczej uwagi, wrażenia moje, nie mając najmniejszej pretensyi do nieomylności; jeżeli sympatye moje nie są zupełnie po stronie poezyi, to są niezawodnie po stronie autora. W rzeczach sztuki nie można wydawać bezwzględnego sądu.

Z powodu ukazu o ziemskim szlacheckim banku, którego czynności mają się rozszerzać na całe państwo z wyjątkiem Finlandyi, Nadbałtyckich gubernij i Królestwa Polskiego, *Kijewlanin* dzieli się z czytelnikiem odrobiną żółci z octem. Nie wiem, czy w krajach wyłączonych z udziału w przywileje, własność ziemska szlachecka jest w tak świetnem położeniu, że wspaniałomyślnej opieki już nie potrzebuje; chociaż wątpię, nie roztrzygam jednak tej kwestyi z obawy, aby nie zastosowano do mnie drugiej części przysłowia: Reden ist Silber Schweigen ist Gold. Z tej niekonsekwencyi cieszy się *Kijewlanin* i pragnąłby ją rozciągnąć jeszcze na południowo-zachodnie prowincye Cesarstwa. Dla czego? Cel banku jest przecież na tyle jasny, że go łatwo zrozumieć można: chodzi o podtrzymanie upadającej własności ziemskiej szlacheckiej — tego dosyć. Dlaczego tylko szlacheckiej? — to inna rzecz.

Jeżeli wolno asygnować pewne sumy na podniesienie chowu bydła lub owiec, dlaczego nie wolno zakładać banków dla podtrzymania żywiołu szlacheckiego? To kwestya dobrej woli. *Kijewlaninowi* chodzi o co innego, mianowicie: czemu do dobrodziejstwa rządu mają być dopuszczani polacy? P. Pichno krytykuje Najwyższy ukaz, nie zdając sobie sprawy z tego, że polacy są także obywatelami państwa rosyjskiego, płacą podatki, pełnią odnośne obowiązki, więc słusznie i sprawiedliwie mogą korzystać z ulg.

Zresztą jest jeszcze jedno *ale*. Nie wiem wprawdzie, co p. Pichno wykłada w uniwersytecie, ale to wiem, że gdyby nawet wykładał filozofię, zawsze mu będzie brakować logiki; gdyby wykładał nawet wszystkie nauki prawne sam jeden, niezdołałby wykształcić w swoich uczniach uczucia sprawiedliwości. Cel banku — uchronić od upadku własność nietylko dlatego, że ona jest szlachecką, ale dlatego, ażeby dać możność krajowi wzmocnić się i wzbogacić; pozostawiam każdemu człowiekowi wyciągnąć sobie wnioski o tem, jakby pod względem ekonomicznym wyglądał kraj, w którym p. Pichno był absolutnym wielkorządcą? Gdyby nie było polaków — znalazłby żydów, gdyby nie było żydów — znalazłby niemców, gdyby nie było niemców— znalazłby kij na swoich własnych współbraci, z którymi także nie jest na stopie przyjacielskiej. Według pojęcia *Kijewlanina* prawda i sprawiedliwość jest to trzcina, którą do każdej skóry, według chęci i możności, stosować można. U nas nie zbywa na rzecznikach publicznych, dla których wszystko jedno: *ou le sac d'argent pour, ou le sac d'argent contre.*

Fr. R.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ważna sprawa. P. Mieczysław Rudnicki złożył Towarzystwu poparcia przemysłu i handlu projekt urządzenia szkół rzemieślniczych, a właściwiej rozszerzenia działalności szkoły, istniejącej przy ulicy Jasnej. O sprawie tej pomówimy obszerniej w przyszłym numerze.

Słuszny protest. *Zaria* oburza się, że mapa poglądowa p. Wojcickiej otrzymała tylko medal brązowy, kiedy kwiaty sztuczne, malowidła na szkle itp. nieużyteczne zabawki nagrodzone zostały medalami złotymi i srebrnymi. Dziwna rzecz, że protestu tego nie podjęło żadne z pism warszawskich, które potrafiły upominać się jedynie o niesprawiedliwości wyrządzone pp. piwowarom lub fabrykantom cygar.

Komisya do spraw żydowskich zasiadająca w Petersburgu oświadczyła się za dozwoleniem mieszkania izraelitom w całej Rosyi, pod warunkiem wszakże, iż nie wolno im będzie zajmować się handlem pieniędzmi i trunkami oraz brać dostawy rządowe. Ograniczenia te stosować się mają nawet do tych, którzy przyjmą religię chrześciańską i dopiero dzieci ich wolne będą od wszelkiego rodzaju zakazów.

Szkoły. Progimnazyum w Częstochowie zamienione zostanie z początkiem r. b. na gimnazyum 8 klasowe.

Odnoga kolei dąbrowskiej od Koluszek do Opoczna otwarta została w d. 22 lipca.

Teatr. P. Brajninowa rozpoczęła szereg występów gościnnych na naszej scenie.

— P. Siemaszko, artysta dramatyczny zamierza podczas zimy urządzić w Petersburgu szereg przedstawień w jezyku polskim.

— Teatr polski we Wrocławiu przyjęty został obojętnie, zamieszkali tam polacy nie poparli go wcale i dochód z przedstawień nie opłacił nawet kosztów.

Uniwersytet genewski przyznał stopień naukowy (*bachelier ès sciences physiques et naturelles* pięciu polkom pp. Felicyi Jakubowskiej, Annie Muszkat, Natalii Piotrowskiej, Rozalii Silberstein i Annie Torner-Toruńczyk.

Wyprawa. Hr. Lanckoroński, kurator muzeum austryackiego wysyła swoim kosztem wyprawę naukową w celu badania zabytków starożytności... w Małej Azyi.

Bank łódzki koresponduje z tutejszemi instytucyami finansowemi wyłącznie w języku niemieckim. „Nasz świat handlowy“ jak donosi *Kur. codz.* „skarży się na to,“ a jednak od jego woli tylko zależy zmiana.

Omyłka. *Zaria* donosi o zabawnej pomyłce Północnej Agencyi Telegraficznej, która rozesłała telegram o zabójstwie księdza w Stepaniu, nadmieniając, że sprawcą zbrodni jest Eugeniusz Lwow. Tymczasem księdza zabił niejaki Myczkowski a E. Lwow, to korespondent *N. Wrem.* znany pod pseudonymem *Ruskiego Strannika*, który właśnie przesłał wiadomość o zbrodni. „Ten E. Lwow, dodaje *Zaria*, o ile nam wiadomo, systematycznie tylko dokonywał zabójstwa... prawdy i zdrowego rozsądku.“ Ale o takich wypadkach telegraf milczy.

Studenci politechniki lwowskiej pod przewodnictwem prof. technologii Pawlewskiego zwiedzają większe zakłady przemysłowe w Królestwie.

Pomnik Kniaźnina w Końskowoli odnowiony został ze składek, zebranych przez redakcyę *Kuryera codziennego.*

Krwawe wybory. Podczas wyborów na prezydenta (głowę) miasta w Kagulu, w Bessarabii partye przeciwne wszczęły bójkę, w której jednego z wyborców zabito a kilku raniono.

Kara. Redakcya dziennika *Woschod* otrzymała drugie ostrzeżenie, za tendencyjne przedstawianie działalności rządu i społeczeństwa rosyjskiego w sprawie żydowskiej.

Gmina Kromołów, w której skład wchodzi Zawiercie oddzielona została od gubernii Kieleckiej i przyłączona do piotrkowskiej.

Wydawnictwo. Dr. Mendelsohn i Richet zamierzają wydawać w Paryżu pismo p. t. *Archives slaves de Biologie*, poświęcone pracom słowian w tej dziedzinie wiedzy.

Kongres więzienny w połączeniu z wystawą kryminalno-antropologiczną odbędzie się we wrześniu w Rzymie, z inicyatywy prof. Lombroso.

Okrucieństwo niemieckie. Dowódzca 51 pułku piechoty pruskiej w celu doświadczeń rozkazał jednemu batalionowi odbywać codzienne marsze bez wypoczynku przy 30 stopniowym upale, od 4 rano do 1 po południu. Żołnierze musieli dźwigać oprócz broni po 40 funtów piasku w tornistrze. Zaraz pierwszego dnia „naukowe doświadczenie“ wydało odpowiedni rezultat: czterech ludzi zmarło, między nimi dr. filozofii Roos, który podczas marszu napróżno błagał o chwilę wypoczynku.

Bibliografia. *Dzieła poetyczne i dramatyczne*, Fryderyka Schillera. Zeszyt 34-ty (ostatni) Lwów.

— Ks. Eliasz Meric, *Życie przyszłe*, przełożył ks. Jan Prusałajtys, Warszawa.

Rozporządzenie. Ochronki dla sierot, istniejące przy zakładach dobroczynnych podlegać mają kontroli władz naukowych.

Dla pogorzelców. Wydawnictwo zbiorowe pod tym tytułem ukazało się już w handlu księgarskim, przyjęli w niem udział wszyscy prawie wybitniejsi autorowie polscy. Przypominając cel na jaki przeznaczony jest dochód z tego zbiorku, nie potrzebujemy chyba zalecać go czytelnikom naszym.

Pogłoska o reformie notaryatu okazała się bezpodstawną.

Upadek gorzelnictwa. Liczba gorzelni w Królestwie czynnych podczas ubiegłej kampanii mniejszą była o 40 w porównaniu z rokiem poprzednim.

Składki dla ofiar katastrofy na Ischii wyniosły 6,180,571 fr. w tem zapomogi rządowej 1,350,000 fr. Tak wielka suma pozwoliła nietylko opędzić wydatki bieżące, zapewnić utrzymanie sierotom i kalekom, ale nawet wynagrodzić pewną część strat materyalnych.

Zjazd psychiatrów rosyjskich odbędzie się we wrześniu w Petersburgu.

Kobiety angielskie coraz chętniej garną się do nauki. W roku bieżącym na 1,100 kandydatów do uniwersytetu londyńskiego było 150 kobiet, z nich 100 zdało egzamin wstępny.

Autobiografia H. Taylora wyszła w Londynie.

Towarzystwo czytelni ludowych w Poznańskiem założyło w r. z. 73 nowych czytelni wiejskich i 9 miejskich, oraz rozpowszechniło 15,892 książek.

Przemysł. Fabryk tkackich było w Rosyi w 1884 r. 3,908, pracowało w nich robotników 342,714, wszelkiego zaś rodzaju zakładów przemysłowych liczono 56,905 i 954,790 robotników.

— Fabrykanci świec czynią starania od podwyższenia cła od stearyny, ponieważ współzawodnictwo zagranicy tamuje rozwój wyrobów z tego produktu. Taniość materyałów surowych, z których wytwarza się stearyna powinna dać przewagę fabrykom tutejszym i rosyjskim nad obcymi, jeżeli zaś istnieje przywóz z zagranicy, to tylko dla tego że wyrób miejscowy jest lichy, czego cło nie poprawi.

W seminaryum prawosławnem mińskiem zaprowadzony będzie wykład zasad religii katolickiej, ponieważ duchowni miejscowi często mają styczność „z osobami wyznania rzymsko-katolickiego, odznaczającemi się dziwnie upartym fanatyzmem w sprawach swej wiary.“

Statystyka. Kijewlanin podaje, że przed dwudziestu laty właściciele ziemscy rosyanie posiadali w 3 guberniach południowo-zachodnich 742,000 dziesiatyn, polacy 5,347,000 a żydzi 53,000. W r. 1880 własność rosyjska doszła do 2,510,000 dz. t. j. powiększyła się o 235%, polska zmniejszyła się do 3,963,000 czyli o 25%, żydowska zaś pozostała bez zmiany. Dodać należy że w obu obliczeniach suma cyfr jest różna, mianowicie w 1880 r. większa o 384,000 dziesiatyn. Różnica ta powstała zapewne wskutek sprzedaży wielu majątków rządowych osobom prywatnym.

Zmarli. Józef hr. Baworowski, członek austryackiej izby panów.

— August Vera, filozof włoski, prof. uniwersytetu w Neapolu.

— Mojżesz Montefiore, znany filantrop.

— Milne-Edwards, sławny zoolog francuski.

Towarzystwo opieki nad ubogiemi matkami oraz ich dziećmi rozpoczęło działalność swoją; d. 18 b. m. nastąpiło bowiem otwarcie Zakładu dla biednych matek i dzieci, jednej z licznych Instytucyj, do prowadzenia których wedle brzmienia Ustawy jest upoważnione.

Zakład mieści się przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 56 i jest w nim obecnie 7 łóżek.

Do Zakładu przyjmowane i pielęgnowane w nim będą **bezpłatnie** tak mężatki jako i kobiety niezamężne dla odbycia porodu. Wstępować będą one mogły do zakładu w chwili rozpoczęcia się porodu lub na kilka dni przedtem, a to według uznania lekarza zakładowego. Oprócz tego przyjmowane będą wraz z dziećmi kobiety bardzo biedne i wycieńczone, które poród gdziekolwiek odbyły i pozbawione są wszelkich środków materyalnych, niezbędnych do pielęgnowania osłabionego organizmu.

Wszystkie matki pozostaną w Zakładzie i karmić będą swe dzieci, dopóki organizm ich nie wzmocni się o tyle, iżby bez niebezpieczeństwa utraty życia mogły być oddane na wykarmienie.

Matki biedne, schorowane, niemogące zapracować na swoje i swojego dziecka utrzymanie będą mogły zostawić dzieci swoje w Zakładzie, który na zasadzie Ustawy starać się będzie o oddanie ich na wychowanie osobom dobroczynnym lub też o pomieszczenie ich u wiejskich mamek.

Lekarz Zakładu Dr. Wacław Horoch udzielać będzie wszelkich informacyj codziennie między godziną 8 a 10-tą rano (z wyjątkiem świąt i niedziel) w Zakładzie; w tych też godzinach podawać będzie pomoc lekarską ambulatoryjnie biednym chorym kobietom.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Іюля 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski